MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 18. WARSZAWA, 5 KWIETNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

WIDMO „ANSCHLUSSU"

I

ZAPOWIEDŹ przygotowań do zawarcia unji celnej między Niemcami i Austrją wywołała w całej Europie poruszenie, jakiego już dawno nie bywało. Rzecz to zrozumiała, wszak jest oczywiste, że chodzi tu o połączenie gospodarcze, które jest wstępem do połączenia politycznego, co z kolei burzy zasadniczo równowagę polityczną, ustaloną przez traktaty, zawarte w r. 1919. Widmo nowego, rozpościerającego się w Europie środkowej państwa niemieckiego zatrwożyło Europę, ukołysaną błogiemi snami o powszechnej pacyfikacji i pokojowej woli Niemiec.

Kto nie jest skłonny do upajania się frazesami i życia w zamkniętym świecie własnej wyobraźni i własnych pożądań, ten widzi, że Niemcy nietylko posiadają jasno wytknięty plan polityczny, lecz—mimo piętrzących się przed niemi nawewnątrz trudności—idą konsekwentnie do urzeczywistnienia tego planu.

Zjednoczenie wszystkich terytorjów, zamieszkałych przez Niemców, i potęga polityczno-gospodarcza nowego, trzeciego „Cesarstwa" (po niemiecku nazywa się to „*Reich*") — oto hasła, którym w różnych formach i w różnem napięciu, rozmaicie je rozumiejąc, hołdują wszyscy Niemcy. Są one zgodne z „ideologją Wilsona" i przemawiają silniej, niż nam się zdaje, do opinji światowej. „Zjednoczenie"—to w pojęciu niemieckiem przyłączenie Austrji, odebranie Polsce ziem zachodnich, przyłączenie Niemców sudeckich, odzyskanie Alzacji i Lotaryngji, Trydentu, myśl o Szwajcarji niemieckiej, a kto wie czy nie Holandji i t. d. Długa jest ta lista, pozycjami wszakże na niej najważniejszemi są Austrja i ziemie zachodnie Polski.

Skromna zapowiedź prac przygotowawczych do unji celnej między Austrją a Niemcami musi, w umyśle każdego myślącego kategorjami politycznemi człowieka, wywołać nakreślone powyżej następstwa urzeczywistnienia tej unji. Poprzez mgły złudzeń i pacyfistycznych frazesów przedarł się promień rzeczywistości, niosąc ostrzeżenie narodom, zagrożonym przez dążenia Niemiec do hegemonji na kontynencie europejskim. Zacznie się opinja niepokoić, zaś nim „zamawianie" genewskie nie wytworzy nowych złudzeń, że wszystko jest w porządku, trzeba usiłować wyprowadzić pewną naukę z niespodzianki, jaką pp. Curtius i Schober zgotowali Europie.

II

Unja celna między Niemcami i Austrją będzie miała daleko idące następstwa gospodarcze i polityczne.

Już samo połączenie dwóch krajów, ze względu na powiększenie terytorjum i masę ludności, oraz na posunięcie się Niemiec ku południowi, stwarza z nich większą potęgę gospodarczą. Lecz trzeba pamiętać o tem, że unja celna między Niemcami i Austrją jest wstępem do wejścia na drogę do urzeczywistnienia planu „*Mitteleuropy*", który się załamał naskutek przegranej wojny, a który dziś ma być wykonany na drodze pokojowej po klęsce niemieckiej. Plan ten polega na opanowaniu gospodarczem krajów Europy środkowo-wschodniej i na poprowadzeniu ekspansji niemieckiej na Bałkany i dalej do Azji Mniejszej. Idąc równolegle z akcją gospodarczą na terenie rosyjskim, o czem przypominała nam wycieczka przemysłowców niemieckich do Moskwy, prowadzi to wszystko do zupełnego przewrotu w stosunkach gospodarczych Europy wschodniej.

Na płaszczyźnie gospodarczej jest w pierwszym rzędzie zagrożona Czechosłowacja; nic też dziwnego, że tam właśnie odezwały się najsilniejsze głosy protestu. Przy dużym odsetku ludności niemieckiej w Czechosłowacji, uzależnienie jej gospodarcze od Niemiec prowadziłoby niechybnie do uzależnienia politycznego. Połączenie Austrji z Niemcami grozi przedewszystkiem załamaniem się nowego, powojennego układu terytorjalnego w Europie na odcinku czeskim. Nie potrzeba zaś mieć bardzo bujnej wyobraźni, by zrozumieć, że załamanie się w tym punkcie zagraża całości tego układu.

I tu przechodzimy do następstw politycznych. By je zrozumieć, wystarczy pamiętać o tem, że zwiększone terytorjalnie i ludnościowo Niemcy z inną niż dotychczas siłą zaczęłyby napierać w kierunku wschodnim i południowo-wschodnim, nabrałyby dużo większego rozpędu w dążeniu do zburzenia dzieła traktatów z roku 1919 i do przywrócenia przedwojennego układu w Europie.

III

To, co powyżej powiedziano, wystarczy chyba jako przesłanki do wniosku, że Polska nie może patrzeć obojętnie na przygotowujące się przemiany. Uzasadniałem to w „Gazecie Warszawskiej" w sposób następujący: „Czyż może ktokolwiek wątpić, że „*Anschluss*" gospodarczy jest wstępem i zapowiedzią „*Anschlussu*" politycznego? Ten ostatni zaś z kolei podstawą i wstępem do postawienia na porządku dziennym sprawy rewizji granicy polsko-niemieckiej. Jest wielkiem złudzeniem, że Niemcy, poszedłszy w kierunku południowym, nie będą tak silnie naciskali w kierunku wschodnim. Wprost przeciwnie — zwiększona o ludność Austrji, wzmożona pod względem gospodarczym masa niemiecka, z tem większym rozpędem i siłą posuwać się będzie na wschód. Unja celna jest etapem na drodze do połączenia politycznego, a połączenie Austrji i Niemiec, etapem na drodze do postawienia sprawy rewizji postanowień terytorjalnych Traktatu Wersalskiego. Czyż polityka polska ma patrzeć obojętnie na to, jak Niemcy przechodzą jeden za drugim etapy, zbliżające je do celu, i wystąpić dopiero wówczas, gdy będzie bezpośrednio zagrożona? Byłoby to polityką samobójczą, bo państwa i narody, zagrożone przez ekspansję niemiecką, tylko wówczas ekspansję tę powstrzymają, jeśli będą solidarne w obronie nowego układu terytorjalnego, ustalonego po wojnie. Jeśliby pozwoliły na burzenie tego układu stopniowo, etapami, to utracą wkońcu wszystko to, co zdobyły. „Francuzi byliby prawdziwymi osłami, gdyby zapomnieli, że unja celna prowadzi do politycznej hegemonji Niemiec"— napisał w „*Ere Nouvelle*" p. Herriot. Czemby byli Polacy, gdyby nie rozumieli, że następstwa podobnej hegemonji zagrażają im bardziej i prędzej, niż Francji? We Francji powiadają, że „*Anschluss*" byłby nową Sadową, po której, jak wiadomo, nastąpił Sedan. Jest w tem tylko część racji, bo — zdaniem naszem — „*Anschluss*" byłby wstępem do nowej Sadowy, z którą da się porównać tylko cios, zadany nad Wisłą Polsce. Któż jest bardziej powołany do niedopuszczenia do owej nowej Sadowy — Francja czy Polska?"

Skoro jesteśmy tak bardzo zainteresowani tą sprawą, to prosty stąd wniosek — nie możemy patrzeć spokojnie na to, co się dzieje, lecz musimy wyjść ze stanu bezczynności i przejść do wytężonej akcji zarówno na terenie polityki gospodarczej, jak i polityki *tout court*.

IV

Trzeba widzieć rzeczy takiemi, jakiemi są i dlatego nie żywimy żadnych złudzeń co do tego, by zdołano przeszkodzić Niemcom i Austrji w zawarciu unji celnej. Polityka, prowadzona przez państwa zwycięskie w ciągu ostatniego dziesięciolecia (zwłaszcza polityka francuska), doprowadziła do sytuacji, z której Niemcy umiejętnie skorzystali. Wszak projekt Paneuropy znakomicie ułatwił im wystąpienie z projektem, zapoczątkowującym „*Mitteleuropę*". Już w czasie pierwszej dyskusji „europejskiej" nad planem p. Brianda, wypowiedział p. Schober w Genewie (15 września 1930 r.) przemówienie, które w korespondencji, zamieszczonej w „Gazecie Warszawskiej" (19 września) streszczałem w ten sposób: „Najostrożniej mówił p. Schober, wyraził opinję, że najlepszą drogą do utworzenia Federacji wszystkich państw Europy byłoby utworzenie federacyj regjonalnych. Łatwo zrozumieć, że kanclerz austrjacki miał na myśli zaczęcie od sfederowania Austrji z Niemcami, które mogłyby wówczas skutecznie „sfederować" Europę środkową („*Mitteleuropę*"), a następnie „sfederować" całą Europę". Dziś zarówno w Berlinie, jak w Wiedniu, mówi się, że nie chodzi o nic innego, jak o wejście na drogę, prowadzącą najprościej i najprędzej do Paneuropy.

Nic tak nie uwydatnia braku przewidywania ludzi, stojących u steru polityki zagranicznej państw zwycięskich, jak zestawienie zapowiedzi unji celnej niemiecko-austrjackiej, będącej wstępem do połączenia politycznego, z treścią przemówienia, wygłoszonego przez p. Brianda w izbie francuskiej w dn. 3 marca r. b. Mówiąc o rewizji traktatów, przypomniał p. Briand, że t. zw. „*Anschluss*" był w tym kierunku uważany za niebezpieczeństwo najbliższe i wywodził dalej, co następuje (cytujemy według „*Temps*'a" z 5 marca):

„Mówiono mi: jesteś pan ślepy. Jutro, najdalej pojutrze „*Anschluss*" będzie faktem dokonanym, pomimo Pana i przeciw Panu. Przeszły miesiące i lata. Austrja nabrała świadomości swej odrębności; zajęła miejsce w kole narodów; rozprawia z niemi na stopie równości; żąda, co jest zupełnie naturalne, by jej zabezpieczono istnienie w granicach, zakreślonych przez traktaty. To, co można było wówczas uważać za niebezpieczeństwo wojny, powoli zostało załagodzone. Niebezpieczeństwo to nie przestało wprawdzie istnieć, lecz utraciło ten charakter ostry, jaki miało przed dwoma laty. Gdyby było tak bliskie, to już by się urzeczywistniło. Przystąpiłem do tego problematu, jak do wielu innych, z cierpliwością i muszę powiedzieć, że obecnie położenie znacznie się poprawiło".

Nie upłynął miesiąc od tego przemówienia, a rzeczywistość zadała kłam złudzeniom p. Brianda.

Pierwszym tedy warunkiem zapobieżenia takiemu rozwojowi wypadków, któryby prowadził do ułatwienia Niemcom ataku na powojenny układ terytorjalny w Europie — jest zmiana systemu i metod polityki państw, sprzymierzonych w czasie wojny światowej, do walki z państwami centralnemi.

Nie zależy to oczywiście od nas. Nie jesteśmy wszakże całkowicie pozbawieni możności oddziałania w tej dziedzinie na bieg wydarzeń. A już, conajmniej, nie możemy milczeć i ukrywać swej opinji.

V

Wiele natomiast zależy od nas na wschodzie Europy. O polityce ogólnej pisaliśmy już niejednokrotnie i wyrażaliśmy przekonanie, że powinna się ona opierać na założeniu, iż sprawą dziś dla nas najważniejszą jest akcja niemiecka na rzecz rewizji traktatów i że do zagadnienia obrony terytorjalnego *status quo* w Europie powinna być dostosowana polityka polska. Zapowiedź unji celnej niemiecko-austrjackiej przypomina w sposób oczywisty niebezpieczeństwa, wynikające dla nas z naruszenia równowagi politycznej na wschodzie Europy.

Nietrwałość samodzielnego państwa austrjackiego na obszarze etnograficznym niemieckim przewidywano w naszym obozie jeszcze przed rozpoczęciem konferencji pokojowej. W memorjale,

wydrukowanym w lipcu r. 1917 w Londynie, pisał R. Dmowski co następuje:

„Pozostaje jedno wielkie zagadnienie, mianowicie przyszłość niemieckich prowincyj Austrji; tego obszaru, który przylega do Cesarstwa Niemieckiego i posiada zwartą ludność niemiecką, t. j. dolnej i górnej Austrji, Salzburga, Tyrolu i północnych części Styrji i Karyntji — przedstawiających sumę ludności 7.300.000. Ten kraj jest niewątpliwie krajem niemieckim, jego mieszkańcy są integralną częścią narodu niemieckiego i — w razie upadku monarchji Austro-Węgierskiej — żadna siła nie mogłaby przeszkodzić jego połączeniu z państwem narodowem niemieckiem. Żadne inne urządzenie polityczne tego obszaru nie może być trwałe“.

Przemawiając za przyłączeniem Austrji do Niemiec, wypowiadał się jednakowoż Dmowski równocześnie za oddzieleniem Prus Wschodnich od tychże Niemiec. W wymienionym powyżej memorjale czytamy:

„Północna część Prus Wschodnich, ta niemiecka placówka, założona przez Zakon Krzyżacki w obcym kraju, musi wobec swego odosobnienia od Niemiec być związana w przyszłości z państwem polskiem. Może ona być albo autonomiczną prowincją tego państwa, albo oddzielną małą respubliką, związaną z Polską unją celną, co jedynie może zapewnić jej pomyślność ekonomiczną“.

Sprawy Austrji i Prus Wschodnich są z sobą ściśle związane. Wchodząc na drogę do zburzenia równowagi politycznej w Europie wschodniej przez przyłączenie Austrji, wysuwa polityka niemiecka automatycznie dwa zagadnienia — połowicznego, nienaturalnego związku Gdańska z Polską i Prus Wschodnich. Leży to w naturze rzeczy, jest koniecznością dziejową, silniejszą niż wola lub niedołęstwo polityków, stojących dziś u steru w państwach europejskich.

VI

W końcu dochodzimy do zagadnienia polskiej polityki gospodarczej. Tu niebezpieczeństwa są bliskie, szybkie też musi być działanie z naszej strony. Niemcy zmierzają wyraźnie do gospodarczego okrążenia Polski. Umacniają się na terenie rosyjskim, przez unję celną z Austrją idą na opanowanie gospodarcze obszarów południowo-wschodnich, i poza Bałkany do Azji Mniejszej.

To zmusza Polskę do aktywizmu gospodarczego wobec Rosji Sowieckiej (uwarunkowanego zmianą dotychczasowej polityki w stosunku do tego państwa) i do inicjatywy w kierunku takiej organizacji gospodarczej Europy południowo-wschodniej, któraby się mogła przeciwstawić pędowi ekspansji niemieckiej. Najbardziej i najbezpośredniej zagrożona jest Czechosłowacja; stąd wynika, że najpilniejszą sprawą jest współdziałanie Polski z Czechosłowacją. Po tej linji idzie, wysunięty przez organ stronnictwa agrarnego czeskiego, „*Venkow*“, projekt unji celnej między Polską a Czechosłowacją. Projekt ten zasługuje na sumienne i gruntowne rozpatrzenie, ogólna zaś polityka Polski w stosunku do Czechosłowacji musi być dostosowana do nowej sytuacji, wytworzonej przez ujawnienie zamiarów niemieckich.

Rzucony w świat projekt unji celnej między Niemcami i Austrją rozświetlił dalekie widoki w przyszłość, jak błyskawica w noc ciemną. Na nikim bodaj w Europie nie ciąży tak silnie obowiązek skorzystania z odsłoniętych przez chwilę perspektyw, jak na Polsce. Trzeba widzieć, a z tego, co się widzi, wyprowadzić odpowiednie wnioski i być aktywnym. Przed polityką polską otwiera się szerokie pole działania.

STANISŁAW KOZICKI

NOWE ŚREDNIOWIECZE

OTO tytuł dzieła, w którem wydalony z Rosji i żyjący obecnie na wygnaniu w Paryżu profesor uniwersytetu moskiewskiego, Mikołaj Berdiajew złożył jeszcze w 1923 r. poglądy swoje na współczesne przesilenie światowe. Książka wyszła następnie w tłumaczeniu niemieckiem, a wreszcie ukazała się się w Paryżu po francusku („*Un Nouveau Moyen-Age*“ — *Libraire Plon*). Nie mamy tu więc do czynienia z nowością literacką, lecz mamy przed sobą myśl takiej przenikliwości i takiego polotu, że warto się z nią w jakiejkolwiek szacie zewnętrznej zapoznać wszystkim tym, którzy zastanawiają się poważnie nad biegiem obecnego rozwoju społeczeństwa.

Do niedawnych czasów świat europejski żył jeszcze treścią ostatniego swego wielkiego przeobrażenia. A tem było, wedle autora, Odrodzenie. Obecnie „jesteśmy świadkami końca Odrodzenia“, to też „wyszliśmy z ram historji.“ Nie przypadkowo charakterystycznym wytworem Odrodzenia był humanizm. Wszechstronne wyzwolenie człowieka, wszechstronne rozwinięcie jego władz, oto było hasło tego perjodu. Coprawda człowiek nowożytny, korzystający z jego dorobku, nie zdawał sobie sprawy ani z jego istoty, ani też z ceny, jaką on został okupiony.

Bo przedewszystkiem „Odrodzenie istniało już w głębiach wieków średnich i pierwsze jego motywy były czysto chrześcijańskie. Dusza średniowieczna, dusza chrześcijańska zbudziła się do woli twórczej. To przebudzenie nabiera właściwego oblicza w dwunastym i trzynastym wieku“. Autor dzieli entuzjazm wielu prawdziwych znawców i miłośników przeszłości dla wczesnych objawów tego ruchu. „To, co się nazywa pierwszem Odrodzeniem włoskiem, mianowicie *Trecento*, jest największą epoką historji europejskiej, jej punktem kulminacyjnym“.

To też w dalszym rozwoju ducha europejskiego wpływ dominujący wywiera, mimo wszelkich pozorów, treść chrześcijańska, wyniesiona ze Średniowiecza, ale z biegiem czasu ten rozwój już się nie pogłębia, owszem raczej się tylko wszerz rozlewa i wyjałowia. „Człowiek nowych dziejów nie będzie głęboki, będzie zmuszony błąkać się po powierzchni życia. Na powierzchni wyzwolonej z wszelkiej łączności z głębią, człowiek będzie się starał wypróbować swe siły twórcze. Wyda wiele, lecz nareszcie się wyczerpie i straci tę wiarę, którą sam w sobie położył.“ „Dlatego też w naszym wieku, doszedłszy do szczytu ery humanistycznej, człowiek stoi w stanie strasznej pustki“. Nie wie już, gdzie jest centrum jego życia. Bo też „proces humanizmu w czasach nowożytnych jest przejściem człowieka z duchowego zrośnięcia, gdzie wszystko jest organicznie związane, do dzielącej abstrakcji, gdzie człowiek zamienia się na atom odosobniony.“

„Koniec historyczny Renesansu oznacza rozsadzenie wszystkiego, co było organiczne. Odrodzenie

było jeszcze zachowało organiczną strukturę życia. Wówczas dopiero się zaczynał ten ruch zeświecczenia, który miał się skończyć mechanizacją życia, rozerwaniem wszelkiej organizacji. W początkach, w pierwszych swoich fazach, ta sekularyzacja była brana za wyzwolenie twórczych sił człowieka, za ich rozkwit w wolnej grze". Powoli jednak wychodzą na jaw konsekwencje. Człowiek bez zapór jest też człowiekiem bez oparcia, odcięty od naturalnych związków, wyrwany z przyrodzonej organizacji, pozbawiony swego miejsca w hierarchji, do czasu żyje niby silniej i wszechstronniej, lecz niebawem wyczerpuje się, słabnie i marnieje. „Wszelki organizm jest hierarchją. Gdy cząstki oddzielą się od całości i przestają służyć centrum organicznemu, nieznacznie poddają się naturze niższej", następuje „analityczne rozdrobnienie i rozbicie całości organicznej. To też takiego rozpadania się wszystkich form przyrodzonych jesteśmy dziś świadkami we wszystkich dziedzinach, w sztuce, w literaturze, w filozofji". Odrodzenie kończy się pod działaniem sił, które rozpętało samo.

„Powiększenie, rozszerzenie się królestwa humanizmu, jego demokratyzacja, stały się zgubne dla jego istnienia. Humanizm twórczy może istnieć tylko wśród doboru ludzkiego społeczeństwa. Tak było w epoce odrodzenia. Oświecenie i rewolucja wprowadziły do królestwa humanizmu niwelację, spowodowały jego wewnętrzny rozkład. Renesans był oparty na nierówności i był możliwy tylko na podstawie tej nierówności. Pragnienie równości, które opanowało człowieka współczesnego, oznaczyło koniec odrodzenia. Oto jest *entropia* życia społecznego".

Analiza rozwoju i upadku ducha nowożytnego, w kilku zdaniach tu streszczona, należy niewątpliwie do najgłębszych i najświetniejszych rzeczy, napisanych w naszych czasach. Prof. Bierdiajew na niej nie poprzestaje. Owa *entropia*, owo śmiertelne zobojętnienie społeczeństw podlega sobie właściwemu prawu: „Potęgi ludzkie, wychodzące ze stanu organicznego, nieuniknienie podlegają stanowi mechanicznemu. Tego się zaraz nie spostrzega. Przez czas jakiś człowiek żyje złudzeniem, że jest wolnym od wszelkich więzów organicznych, a nie domyśla się, że powróci jako martwy kawałak do całości mechanicznej". To dosłownie miało miejsce w historji. Po upojeniu własną wolnością i upojeniu naturą, które było cechą właściwego odrodzenia, człowiek stał się niewolnikiem sił przyrody, stał się niewolnikiem maszyn. A wpływ ten ujemny techniki nowożytnej na tryb życia ludzkiego, będący zaprzeniem wszechstronego rozwoju osobistości, nie jest jedynym wyrazem mechanizacji życia.

I ustrój społeczny, pozbawiony swych organicznych kształtów, także prawem własnej ciężkości nabiera cech czysto mechanicznych. Wyrazem tego jest obecnie socjalizm. Jeżeli indywidualizm rozkruszył dawne formy społecznego życia, to socjalizm utrwala ten indywidualistyczny rozstrój. Jeżeli prądy, wyszłe z odrodzenia, rozproszkowały narody, to socjalizm operuje nie czem innem, jak tą rozproszkowaną masą, w kierunku równie wrogim względem organicznego pojmowania świata.

„Materjalizm ekonomiczny wyraził tylko stan społeczeństwa ludzkiego w tej epoce, jego zniknięcie duchowe, jego zniewolenie przez materjalną stronę życia. Jest to rozkład humanizmu przez niego samego, koniec odrodzenia, upadek złudnego panowania ludzkości".

Bo „człowiek bez Boga przestaje być człowiekiem: oto jest sens religijny wewnętrznej djalektyki dziejów nowożytnych, oto historja wielkości i upadku złudzeń humanistycznych". „Dziś przeżywamy nie tyle początek nowego świata, ile raczej koniec świata starego. Epoka nasza przypomina koniec świata starożytnego, upadek cesarstwa rzymskiego, wyczerpanie i wyschnięcie kultury grecko-rzymskiej". „Olbrzymia tęsknota ogarnia najlepszą część ludzkości. Jest to znak nadchodzenia nowej epoki religijnej".

Skoro „złudzenia humanistyczne" zawiodły, skoro socjalizm jest zjawiskiem schyłkowem, a nie zapowiedzią przyszłości, tedy istotnie z całą natarczywością powstaje pytanie, dokąd obecny bieg dziejów prowadzi, jakie będzie oblicze nadchodzących dla świata czasów. Tu dopiero się usprawiedliwia tytuł książki. Bo odpowiedź na to pytanie brzmi krótko: humanizm się przeżył, więc przyszłość będzie rodzajem wieków średnich, a nie dalszym ciągiem czasów nowożytnych.

Autor rozpoczyna te rozmyślania od pięknego ustępu, który choć częściowo przytoczyć warto: „W historji, jak w przyrodzie, istnieje tempo, rytmiczne następstwo epok i perjodów, odmiana różnolitych typów kultury, przypływów i odpływów, podniesień i upadków. Perjodyczność i rytm są własnością wszelkiego życia. Można mówić o epokach organicznych i o epokach krytycznych, o epokach dziennych i nocnych, epokach uświęconych i zeświecczałych. Nam dane jest żyć historycznie w epoce przejściowej. Stary świat czasów nowożytnych, jeśli tak się wyrazić wolno, tych czasów, które niemniej starym zwyczajem wciąż jeszcze nowszemi się nazywają, choć są one zupełnie zgrzybiałe, — kończy się i rozkłada".

Więc nie tylko ilościowe nadchodzą przemiany, nietylko miejscowe przesunięcia, lecz głębokie przeobrażenia całego charakteru, całego kolorytu dziejów, z perjodu dziennego, słonecznego, przechodzi świat w perjod cienia i nocy, co pod piórem antora nie ma oznaczać bezwzględnego upadku kultury. Ale „wszystkie zwykłe postaci myśli i obyczaju, przyjęte przez ludzi najbardziej skrajnych i największych przyjaciół postępu, a nawet rewolucjonistów dziewiętnastego i dwudziestego wieku, rozpaczliwie się zestarzały i straciły wszelkie możliwe znaczenie na chwilę obecną, a tem bardziej na przyszłość". Przedewszystkiem wyjdzie na jaw daremność usiłowań, zmierzających do utrzymania się w obojętności na sprawy religijne.

„Nastanie nowego średniowiecza, jak niegdyś nastanie starego, przedstawia się jako rozkład dawnych społeczeństw, a niewidoczne wyrabianie się społeczeństw nowych". Potrzeba i możność takiego wyrobienia tem bardziej niewątpliwa, że nawet zdobycze i zalety czasów „nowszych" nosiły piętno negacji i zaprzeczenia. Indywidualizm, atomizacja społeczeństw, wyuzdanie pożądliwości światowych, nieograniczone przeludnienie i bezgraniczny przerost potrzeb, upadek wiary i osłabienie życia duchowego,—bank i giełda, parlamentaryzm i dziennikarstwo, materjalizm i merkantylizm, a nawet nowoczesna wolność i tolerancja — wszystko to ma cechy „złej nieskończoności, nieskończoności mającej wstręt do jakichkolwiek rozwiązań". Nawet ruchy narodowe, chociaż wniosły do dziejów treści wielkie i nowe, dopiero rozbiły jedność świata, nie zdołały jej jeszcze odbudować.

Otóż „Nowe Średniowiecze zatriumfuje nad atomizmem historji nowożytnej. Ten atomizm jest już zwyciężony, kłamliwie przez komunizm, prawdziwie przez Kościół i ekumenicznego ducha. Nowe Średniowiecze, jak dawne, jest hierarchiczne w swej budowie, podczas gdy historja nowożytna odrzuciła hierarchję na wszystkich poziomach". „Żyjemy w epoce, w której powrót dobrowolny do zasad hierarchicznych jest wszędzie nieunikniony". „Przesilenie obecnej kultury rozpoczęło się już oddawna. Wielcy jej inicjatorzy czuli to dobrze". „Religja czasów nowożytnych była się stała także odrębną cząstką kultury. Zatrzymano dla niej miejsce osobne i dosyć małe, na nowo ona musi stać się wszystkiem, siłą przemieniającą i oświecającą życie całe przez wnętrze, musi ona, jako siła duchowa i wyzwolona, przeobrazić całokształt życia", a zatem sama z zakresu symbolów przejść do dziedziny urzeczywistnienia.

Przebudowa społeczeństwi państw nastąpi w kierunku tym samem. Wbrew zasadom tak demokratycznym jak i socjalistycznym, w równym stopniu nieistotnym, siły i organy realnie spełniające funkcje społeczne zdobędą przewagę i na jaw wystąpią z dotychczasowego upośledzenia czy ukrycia. Tu autor dochodzi niewątpliwie do najtrudniejszego punktu swego programu. Być więc może, że sądy jego okażą się nie zawsze dorównującemi, że ten lub ów wzgląd uzupełniający mu się wymknie. Mimo to wnioski jego zasługują na największą uwagę, skoro się kuszą o danie odpowiedzi na najbardziej palące zagadnienia współczesności.

Zatem „życie społeczne się uprości, będzie widownią powrotu do pierwotniejszych poczynań w walce o byt. Będzie ono musiało nawrócić do źródeł dawnych, stać się mniej sztucznem". — „Nowe Średniowiecze będzie z konieczności i w najwyższem stopniu ludowe, a nie będzie wcale demokratyczne". — „Zjednoczenia społeczne podejmą się ratowania państwa i społeczeństwa z ich ruiny. Mam na myśli zjednoczenia istotnie żywotne: jedne zawodowe, korporatywne, gospodarcze, — drugie duchowe".

Więc podczas gdy „czasy nowożytne uważały władzę za prawo i zajmowały się opisaniem granic prawa do władzy, — nowe średniowiecze będzie musiało uznać władzę za obowiązek", co usunie walkę o władzę w dotychczasowej formie. Natomiast „stanie się koniecznym ruch reakcji przeciwko tej entropji społecznej, która była opanowała współczesne społeczeństwa demokratyczne". „Nie jest wykluczone, że jedność społeczeństw i państw, uczestniczących w Nowem Średniowieczu, wleje się w formy monarchji". Parlamenty, które autor sądzi nader surowo, zdaniem jego, „muszą zniknąć, nie spełniając już żadnej organicznej funkcji". „Władza będzie silna, nieraz dyktatorska". „Zasada prywatnej własności zachowa się w swej wiekuistej podstawie, lecz będzie ograniczona i uduchowiona". „Nadmiar wolnego czasu i wielka bezczynność klas uprzywilejowanych w dziejach nowożytnych ustanie. Arystokracja pozostanie zawsze, lecz nabierze charakteru bardziej duchowego". „Wreszcie powstanie problemat religijnego znaczenia, religijnego uświęcenia pracy, o czem historja nowożytna słyszeć nie chciała, starając się zawzięcie o oswobodzenie człowieka i całych klas od jarzma pracy". „Ograniczenie potrzeb i wielki wysiłek pracy we wszystkich klasach społeczeństwa będzie cechować nowy perjod historyczny. Tylko za tę cenę zubożała ludzkość istnieć będzie mogła".

Ta garść cytatów wystarczy dla ogólnej charakterystyki ustępów, nabitych treścią, drgających niejako pod naporem coraz dalszych pomysłów. Nie będzie na miejscu wobec nich bezkrytyczna łatwowierność, lecz również nie na miejscu byłby ryczałtowy sceptycyzm. Nie wiem, czy kto inny w naszych czasach odważył się pójść równie daleko w konkretyzacji swych przewidywań, ani czy te przewidywania oparł ktokolwiek na równie głębokich przesłankach myślowych. Na plan pierwszy wysuwają się dwie. Pierwsza o najogólniejszem znaczeniu: po wyczerpaniu się form życia płytkich, nieistotnych, zawodnych, nastąpić musi, a przynajmniej powinien nawrót ku głębi, ku treści, ku prawdzie. Druga na poziomie zastosowań: pod naciskiem niedomagań i zawodów, społeczeństwa odrzucą wszystko, co nieistotne lub nieużyteczne, uproszczą swe formy życia, chwycą się środków najkrótszą drogą prowadzących do celu. Tytułem przestrogi możnaby tu chyba przypomnieć autorowi, że nic się tak dotkliwie nie komplikuje, jak rzeczy zbytnio uproszczone. Lecz nie ma to wcale znaczyć, by on zasadniczo nie miał racji.

Nader cennem uzupełnieniem wywodów autora są dwie zamieszczone w tym samym tomie rozprawy,. z których jedna nosi tytuł: „Refleksje nad Rewolucją Rosyjską", druga: „Demokracja, Socjalizm i Teokracja". Pierwsza rozpoczyna się od lapidarnych stwierdzeń:

„Nigdy nie było szczęśliwej rewolucji". „Wszelka rewolucja jest ohydna". „Wszystkie rewolucje chybiły celu". Lecz obok tego realizmu nie opuszcza autora ani na chwilę prawdziwa mądrość i wysoka szlachetność w stosunku do tak bolesnego zjawiska. Mądrość ta nie jest może bez cienia fatalizmu. Rewolucja to tylko dawny ustrój w rozkładzie. Więc rewolucji współwinni są wszyscy, którzy przed nią żyli. Zatem wobec niej nie jest na miejscu gniew i zemsta, lecz cierpliwość i skrucha. Tylko bronią ducha zwalczyć ją można. Wstępnym bojem nic się nie wskóra, tylko się oddali naturalny koniec tej społecznej choroby. Autor powtarza za de Maistre'm: „kontr-rewolucja nie może być rewolucją w kierunku przeciwnym, lecz musi być przeciwieństwem rewolucji".

Rozprawa o demokracji, socjalizmie i teokracji obraca się w sferze pojęć, z któremi zżył się już czytelnik poprzednich uwag o rozwoju społeczeństw. Tylko punkt wyjścia nie jest tym razem historyczny, lecz zasadniczy. Co to jest demokracja? Czysto formalna teza, pozbawiona wszelkiej treści. Większość ma rozstrzygać — oto zasada, która konkretnie nic powiedzieć nie umie ani o budowie ani o realnych potrzebach społeczeństwa. Jej podstawą jest naiwny optymizm, każący wierzyć, że ta większość zawsze postanowi najlepiej. A w dodatku demokracja przeciwstawia chwilowe i złudne zjawisko, — każdorazową większość, — tej wielkiej, trwałej prawdzie, którą jest ciągłość duchowa narodu.

Piękne i uderzające ustępy poświęca autor tej sprawie, zbyt długie, by je przytaczać w całości. „Zarozumiałość, pewność siebie obecnego pokolenia, jego lekceważenie wartości odziedziczonych po przodkach, takie jest właśnie podstawowe kłamstwo demokracji". „Wola ludu, wola jego wspólna, wola organiczna, zawiera legendy historyczne i tradycje, pamięć dziejową minionych pokoleń, które przeszły w wieczność. Zatem demokracja liczyć się nie chce,

zatem zapoznaje ona wolę ludu, a zna tylko mechaniczną totalizację chęci nieznacznej garstki współczesnych".

W przeciwieństwie do formalnej czysto demokracji, charakter socjalizmu, z istoty swojej, jest materjalny; socjalizm wie, czego chce, wysiłek jego posiada cel. Przyświecają mu pewne urządzenia społeczne, do których wprowadzenia dąży wszelkiemi środkami, lekceważąc brutalnie tych nawet, przez których i dla których mają być stworzone.

„Socjalizm chce zagarnąć człowieka całego, tak jego ciało, jak i duszę. Porywa się na najwewnętrzniejszą i najbardziej tajemniczą głębię duszy ludzkiej. Jego pretensje pod tym względem są naśladownictwem wymagań Kościoła". A „chce on nałamać dusze do mechaniki, poddać je takiej dyscyplinie, by się czuły dobrze w mrowisku ludzkiem, by polubiły życie koszarowe, by się wyrzekły wolności ducha".

Słowem zarówno socjalizm, jak i demokracja omijają to właśnie, co stanowi istotną treść ludzkiego ducha, jego podstawę i prawdę. „Socjalizm jest krwią z krwi i kością z kości kapitalizmu. Znajdują się one na jednym i tym samym gruncie. Jest to jeden i ten sam duch, albo raczej jedno i to samo zaprzeczenie ducha, które je ożywia. Socjalizm odziedziczył ateizm po społeczeństwie burżuazyjnem i kapitalistycznem dziewiętnastego wieku, najbardziej bezbożnem, jakie istniało kiedykolwiek". Socjalizm, jak nowożytna demokracja, myśli tylko o środkach do życia, zapominając zupełnie o jego celach.

To też usunięcie wspólnych im niedomagań, wprowadzenie społeczeństw na drogę normalnego rozwoju możliwe jest tylko przez wkroczenie do tej dziedziny, która jest wyrazem integralnej pełni życia t. j. do dziedziny religijnej. „Problemat oświecenia i duchowego przemienienia, napotkania woli Bożej i prawdy Bożej nie jest tylko problematem osobistym, który staje przed każdą duszą indywidualną. Jest to też zagadnienie społeczne, zagadnienie historyczne, które staje przed całemi narodami". „Nie chodzi tu o doskonałość osobistą, lecz o przeobrażenia i odkrycia duchowe w życiu społeczeństw i narodów, w przeznaczeniach dziejowych". Dotychczasowe formy teokracji tego zadania nie wypełniły i upadły, albowiem Królestwa Bożego nie osiągnęły realnie, lecz tylko symbolicznie. Dlatego wznowienie dawnych urządzeń teokratycznych nie jest możliwe. Co one oznaczały symbolicznie, wymaga rzeczywistego dokonania. I tym też sposobem demokracja może się usprawiedliwić, zwyciężając się sama.

Na tym wniosku, równie bliskim ideologji polskiej, jak wiele poprzednich, kończą się wywody prof. Berdiajewa. Co uderza w nich może najbardziej, poza samą treścią, to połączenie głębokich i śmiałych poglądów ogólnych z dużą miarą trzeźwości, silnych przekonań z niezaprzeczonym pesymizmem wielu ocen. — Pisze autor wyraźnie na jednej z wstępnych stronic: „Przyszłość jest ciemna. Nie możemy już wierzyć w teorje postępu, które uwodziły wiek dziewiętnasty, a w myśl których bliska przyszłość powinna być zawsze lepsza, piękniejsza, milsza, niżeli przeszłość, która odchodzi". A pod koniec znów mówi: „Dwie drogi są możliwe. Przewiduję w przyszłości napór sił złego, ale chciałem określić możliwe rysy dodatnie przyszłego społeczeństwa".

Możnaby wskazać na pewną sprzeczność u autora pomiędzy żywem poczuciem rozwiązań istotnych, walorów realnych, ontologicznych, jak trafnie je autor nazywa, a powątpiewaniem, czy one doprawdy przyniosą pożądane skutki, możnaby wytknąć jednostronne oświetlenie wielkich zdobyczy technicznych i przyrodniczych, dokonanych w czasach nowożytnych, możnaby wskazywać na pewien fatalizm, który może zbyt nisko ocenia energetykę woli i genjuszu, można się nie godzić na te lub owe szczegółowe poglądy. Lecz książka prof. Berdiajewa należy do tych, wobec których krytyczne zastrzeżenia mogą zejść na plan drugi, bo na plan pierwszy wysuwa się potrzeba zapoznania się z nią i przemyślenia jej treści. Rozważania, dotyczące przyszłego ustroju społeczeństw, należą chyba do bardzo aktualnych także w Polsce. A wszak z Polski rodem jest samo pojęcie Historjozofji. Zmienił się może ton, zmienił nastrój osobisty, namnożyły się ogromnej miary doświadczenia, przeszły nad światem olbrzymie klęski—a jednak współczesny autor jakby świadomie nawiązuje do myśli i poglądów, które dziś już blisko sto lat temu, w zgoła innych okolicznościach, wypowiedziała filozofja polska.

ADAM ŻOŁTOWSKI

ECHA MEDYCKIE

O MARYLI WOLSKIEJ

PISAŁEM poprzednio, jak to w roku 1903 przyjechała do nas do Zakopanego Maryla Wolska i jak urządzaliśmy razem różne zbiorowe poetyckie turnieje. Wielka poetka, — bo na tem ja, niedorostek w szóstej gimnazjalnej, poznałem się równie dobrze jak mój ojciec — była niezrównanym towarzyszem zabawy. Inaczej naturalnie wówczas patrzyłem na nią, niż później, kiedym ją wiekiem prawie dopędził, i niż dzisiaj, kiedy minęła. Pobożny podziw i pewien rycerski zachwyt studenta dla urodziwej i młodej, bo zaledwie trzydziestoletniej pani, tryskającej zawsze bystrym dowcipem, zmienił się z biegiem lat wspólnej pracy i bardzo blisko przeżywanej jej i mojej doli i niedoli, na przyjaźń najbliższą i wzajemne zaufanie, w którem każde z nas mogło liczyć zawsze zarówno na pomoc niezawodną, jak na radę i otwarte zdanie. Dziś zaś, kiedy już nic pomódz ani poradzić nie można, i kiedy tej rady i pomocy daremnie oczekiwać, — jaśniej rysuje mi się przed oczyma synteza jej duszy.

W czasie kiedy poznałem Marylę — nie piszę tak dlatego, abym uznawał tytułowanie zmarłych poetów *per* Adam i Juljusz, ale dlatego, że tak do do niej mówiłem — była ona w okresie swego życia, w którym obok dojrzałych, skończonych rysów zalegały różne naleciałości zewnętrzne, które, choć nie bez wpływu na jej późniejsze życie, ustępowały miejsca walczącej z niemi głębszej prawdzie wewnętrznej.

Trzeba sobie uprzytomnić, że młodość jej upłynęła w atmosferze epoki poromantycznej, arty-

stów, dla których wyrocznią był Kaulbach i Delaroche, że wspomnienia Grottgera takim, jakim był jako artysta, a nie takim, jakim mógł być jeszcze (o czem świadczy jego impresjonistyczny paryski szkic „W pracowni"), i zawsze tragiczna, choć pod powierzchnię pogodnego życia domowego usunięta po nim żałoba, owiewały jej młodość. Należy pamiętać, że chrzestnym jej ojcem był Kornel Ujejski, że serdecznym przyjacielem rodziców był Matejko, a codziennymi gośćmi w czasach jej dzieciństwa wszyscy ci „rodacy" z powstania i emigracji. Z tej młodości wyniosła Maryla Wolska żelazny kapitał obyczaju i ideału narodowego, który nad nią świecił, zwłaszcza w ostatnich jej latach—ale wyniosła także, z form zewnętrznych otoczenia i poglądów, pewne strony ujemne: najpierw pewien dramatyczny pesymizm, którego nie mogło zrównoważyć pogodne usposobienie jej ojca, ani odporny i czynny charakter jej matki. — Drugą szkodą tej atmosfery był pewien eufemistyczny kult zewnętrznego piękna, przez którego szminkę trudno się było doskrobać nieraz do własnej prawdy i do prawdy drugich, pewne nagięcie do koturnu i pozy.—Były to jakby dwie warstwy dymu, które przesłaniały oczy Maryli.

I ten dopiero, który sobie z tego zdawał sprawę, zrozumieć może i ocenić całą siłę duszy Maryli Wolskiej, która z głębin najistotniejszej swojej natury przez tę powłokę świeciła i wybuchała ogniem słowa i czynu. Charakterystycznemi dla tej epoki były rysunki Maryli po przejściu, tejże samej, co jej „starsi", szkoły monachijskiej i szkoły Alfonsa Muchy w Paryżu, — same piękne twarze i teatralne gesty — rzeczy, do których miała później awersję. Krótki wzrok przeszkadzał jej był do robienia precyzyjnych studjów z natury, dlatego zastępowała go wyobraźnią, uogólniającą indywidua w typy, w symbole, w koturnowe postaci, wedle tego literackiego pojmowania sztuki z czasów jej młodości. Całkiem jednak inne były jej karykatury, a nawet z pamięci rysowane sylwetki portretowe. Niesłychanie bystrą obserwacją poprostu nabierała w oczy człowieka i dawała jego syntezę (odziedziczyła ten talent po niej córka). Zupełnie tak samo skrzył się zawsze na tle tej jej dawnej literackiej melancholji przepyszny humor i nieraz żywiołowa wesołość. Od „mydła" broniła utwory jej z tego okresu genjalna intuicja artystyczna i łatwość formy, wydobywająca, nieraz wbrew jej świadomości, prawdę własną z głębokich pokładów ponad czad literacki. Nie będę cytował Symfonji Jesiennej, a przedewszystkiem „Święta Słońca", drukowanego ongiś w kilkuset egzemplarzach zaledwie, a rozchwytywanego przez badaczy wiersza polskiego do ich dzieł naukowych. Trzeba te rzeczy przeczytać. Wydam je raz jeszcze, kiedy mnie na to stać będzie, a publiczność zacznie znowu kupować książki.

Wspomnę tu nawiasowo o interesującym szczególe, który może nietylko rzuci pewne światło na dalekie, atawistyczne skłonności ludzkie—ale doda do ciągle otwartej dyskusji naukowej na innem polu parę szczegółów.

Oto posiadam egzemplarz w kilkudziesięciu egzemplarzach wydanego „*Familienbuch*'u" bar. Wentzów Niederlahnstein, do którego to rodu należała matka Wandy Monné, a babka Maryli Wolskiej. Otóż wynika z niego, że protoplastą tego rodu w prostej linji był Konrad von Alzey, sekretarz biskupa Pilgrima z Passau. W ustępie o Alzeyach znajduje się charakterystyczny ustęp o dawnym herbie ich: harfie z trzema ptakami „*und da Musikinstrumente sehr selten in Wappen vorkommen, scheint es darauf hinzuweisen dass ein Ahne ein berümter Sänger gewesen*". — Rodzina Wentzów, wojskowa, nie parała się literaturą i nie miała pojęcia o tem, że na parę lat przed wydaniem ich „*Familienbuch*'u" prof. Holtzman wydał rzecz o Nibelungach, w której autorstwo ich przypisuje temuż Konradowi von Alzey. Holtzman ze swej strony nic nie wiedział ani o rodowodzie Wentzów, ani o herbie Alzeyów. Obie książki zeszły się dopiero u nas na półce. — Znamienniejszy jeszcze jest szczegół, że w rodzie Alzeyów-Wentzów powtarzają się, dość zresztą rzadkie i wówczas, imiona bohaterów i bohaterek z Nibelungów. — Czy te fakty przeważyłyby hypotezę autorstwa Nibelungów na rzecz autorstwa Konrada, czy nie, w każdym razie był ten Konrad wielkim poetą, jakkolwiek arcygermańskim — a rys ten jeszcze wybitniej przebił się u Wandy Monné, niż u jej córki. Miała szczególne zamiłowanie, mimo swego polskiego patrjotyzmu, do starogermańskich motywów (znane jest m. i. jej doskonałe tłumaczenie Ekkeharda Scheffla).

Jedno jeszcze przyczyniało się do tego odrywania od życia własnej prawdy Maryli w tym czasie: stałymi gośćmi „Zaświecia" Wolskich były wtedy, tak sobie nazwane „płanetniki", towarzystwo wyłącznie literackie, a przynajmniej w tym zespole prawie wyłącznie „zliteratyzowane". Nie chodzi o jednostki, które same dla siebie mogą być prawdziwymi i pełnymi ludźmi z krwi i kości, ale o zespół, w którym zbiegały się zainteresowania każdemu z nich wspólne. W takim zespole ocierają się zwykle indywidualne nierówności, dopasowując do wspólnie zrozumiałych szablonów, gdzie forma góruje ponad treścią. Bywali tam: Edward Porębowicz, St. A. Mueller, Józef Ruffer, Ostap Ortwin i inni, a między nimi całkiem wówczas młody Leopold Staff. Kilku nieuków, bo takich dziś dopuszczają do recenzyj po pismach, bądź to zarzucało Wolskiej „staffizowanie", bądź też sławiło ją za nieuleganie jego wpływowi, a nie przyszło nikomu na myśl zestawić daty ukazania się pierwszych poezyj Wolskiej w „Życiu", „Krytyce" i „Chimerze" i pierwszych jej książek, z pierwszą książką Staffa. Rękopisy „Dnia Duszy" i „Snów o Potędze", które dziś są w Medyce, przynosił młody abiturjent, pan Leopold, autorce „Symfonji Jesiennej" do oceny na „Zaświecie", gdzie zresztą spotkały się z podziwem i zasłużonem uznaniem. Ciągły więc ten sympozjon, daleki od spraw bezpośredniej styczności z życiem, — a troski domowe od myśli jej oddalał najlepszy mąż i matka — przyczyniał się do oparu, który przesłaniał walory jej własnej treści.

Przesłaniał... mojem zdaniem. I dlatego właśnie, że to było moje zdanie, stałem się Maryli i świadomie i mimowoli w tej walce wewnętrznej pomocny, kiedy zaczęła się bliższa nasza współpraca. A zaczęła się w roku tysiąc dziewięćset ósmym czy dziewiątym. Jeżeli ona zaważyła w mem życiu, to i ja w jej życiu zaważyłem, a tem bardziej, że przyszedłem z protestem. Złościła mnie „literatura". Nie znosiłem wszystkiego, czego powiedzenie nie wynikało z bezwzględnej konieczności wewnętrznej, a było koncesją dla formy. Uznawałem wysoki ton, ale chciałem zawsze dla niego mieć rację. Nie uznawałem sztuki jako formy dla pięknego złudzenia, ale jako godną odzież dla praw-

dy. Tępiłem zbytnie zainteresowanie tematem, indywiduum, przedmiotem, — wynikłe z pięknych pozorów, i odwrotnie. Byłem wychowany raczej na przyrodzie niż na kunszcie i sprzeciwiałem się wszystkiemu, gdzie człowiek dawał się unosić czysto zewnętrznym naleciałościom i liczmanom kultury. — Tem bardziej, gdy było warto i było o co się prawować. Widząc jakby róże, skrapiane perfumą, tem dobitniej dawałem wyraz moim przekonaniom.

Byłem także sprzeciwem na drugiem polu: jestem optymistą i nie byłbym nigdy w życiu rozmaitym rzeczom podołał, i rozmaitych rzeczy wytrzymał, gdyby nie to. To też perswadowałem, że melancholja, zwłaszcza bez słusznego powodu, do niczego nie prowadzi, a wszelki zakwas w sobie czy w domu, jest początkiem rozkładu sił, potrzebnych do walki z życiem, — i wygrywałem. W liście z lutego 1913 pisze do mnie Maryla: „My sobie tu radzimy jak kto umie — a najwięcej to pomaga słońce, mnie zwłaszcza, któram przeszła na Twoją wiarę i dziwniem zależna od niego".

Później przyszły na tego mego towarzysza za ciężkie dopusty podczas wojny, — zamęczono jej syna — i inne spotkały ją ciosy — a ja byłem wtedy daleko. Po wojnie, kiedy się na nią waliło jedno po drugiem, kiedy po sześciu miesiącach dogorywania, w którem ratowaliśmy go dzień i noc, umarł jej ukochany mąż, w pół roku później matka, a potem syn najmłodszy — kiedy zwaliła się na nią prawda ciężka, wobec której żaden wyimaginowany smutek nic nie znaczył, starałem się robić, co mogłem, aby utrzymać Marylę w zdrowiu i pogodzie ducha. Ale było to coraz trudniej. Była już wtedy moją teściową. Pamiętam tak żywo, jak nie mogąc sama dać rady swemu sercu, wrażliwemu na własne biedy i troskę w sprawie publicznej, i swojej skołatanej myśli, przychodziła skubiąc mnie za rękaw i prosiła: „Pociesz mnie!". — Kiedy nieraz perswazje nie pomogły, bywałem z rozmysłu szorstki, o co miała czasem żal do mnie, ale potrafiła to zrozumieć jako dobre lekarstwo w połączeniu z oczywistą dobrą intencją. Pisała mi z Odnowa: „Dobrzeby tu było, tylko brak bardzo Twego głębinnego ciśnienia". Niestety i na mnie przyszedł czas, jeżeli nie zwątpienia, to zmęczenia własnemi kłopotami i nie zdołałem dotrzymać i pocieszyć ją w trosce o sprawę publiczną, która ją dobiła. Przeszło po niej życie, i z tego nalotu literackiego nie pozostało ani śladu, a gdy się zupełnie rozwiał, okazało się dopiero, jak głęboko, jak poważnie i gorąco czuła. Czy jest dziś kto drugi, ktoby zginął z rozpaczy o sprawę publiczną? A ja świadczę, i my wszyscy jej bliscy — że tak się stało. Starałem się, jak mogłem, zło, które widziała, bagatelizować w perspektywie siły czasu i zdrowej odporności polskiej duszy narodowej, — ale nie potrafiłem jej przekonać. Za wiele złego doznała od losu i była jak dziecko nieobronne i nieporadne wobec tego strasznego świata.

Na tej płaszczyźnie dopiero urasta jej najbardziej rycerska dusza do właściwej miary: mimo tej bierności wewnętrznej i nieobronności, była na zewnątrz do ostatka niesłychanie czynnym szermierzem sprawy narodowej i wogóle każdej słusznej sprawy. Dla dogodzenia sprawiedliwości i przysłużenia się innym zawsze miała czas i ochotę. Napisała anonimowo stokilkadziesiąt nekrologów, występując w obronie pamięci tych, którzy już sami bronić się nie mogli, miewała swoje miłosierne dróżki po Lwowie, i nie znam wypadku, aby się była nie podjęła czegoś dla dobrej sprawy. Mimo mojej o tyle większej odporności wewnętrznej i mimo, że byłem o 14 lat młodszy, nigdy nie umiałem się zmontować do napisania jakiegoś zasadniczego artykułu w ten sposób jak ona, a siła jej wyrazu, ciętość i pewność uderzenia zostały jej do końca. Znacie ostatni jej artykuł w „Myśli Narodowej", a przecie nikt z Was nie byłby poznał, że był już ostatnim tchem wypowiedziany. Sprawy publiczne omawiało się razem z ś. p. Wolskim albo ze mną, (tego jednak ostatniego artykułu nie omawialiśmy wcale), ale ona pierwsza chwytała za broń, cały zasób energji dla dobra sprawy i dla podtrzymania innych wydając na zewnątrz, a nie zostawiając jej już nic dla siebie. To też w domu opuszczała ją odwaga, i skubała za rękaw, prosząc, by ją pocieszyć, jak dziecko.

Od tych to sekretarzy rymowanych zaczęła się nasza współpraca. Potem, posyłaliśmy sobie różne wiersze do wzajemnej oceny, a żywe zainteresowanie Maryli Wolskiej i uciecha jej z cudzego powodzenia, to było coś, dla czego warto się było napracować. Potem — kiedy w roku 1908 zostałem dyrektorem Towarzystwa Wydawniczego, wydałem tam jej „Dziewczęta". Na „Zaświeciu" powstała pierwsza myśl o „Lamusie", radziliśmy zawsze razem nad jego treścią, ja do tej imprezy pociągnąłem ojca mego i brata, ona męża. Trudno sobie wyobrazić zgodniejszej koordynacji pracy, jak nasza. W różnem otoczeniu, które różne nasuwało tematy, w Zakopanem, we Lwowie, w Skolem na „Storożce", na wsi w Perepelnikach, a wreszcie, po wojnie już, w Medyce, podpieraliśmy się wzajemnie. Oboje mieliśmy zmysł na przeszłość i umieli rozszerzać na nią sprawy dzisiejsze, oboje pracowaliśmy nad utrwaleniem pamięci o czasach dawnych, ludziach i stylu. Oboje mieli poczucie formy, i umieli się cieszyć nową w niej zdobyczą i piękną budową. Rozbieraliśmy między siebie różne tematy, próbowali nowych form, przekładali prozą i wierszem. Inicjatywę zwykle ja dawałem, ale ona była bardziej niezawodnym wykonawcą. Tak powstało nasze tłumaczenie Rubayat Omara, i tak dwugłos septymą, z którego tylko jej część, zaczynającą się od inwokacji: „W dwory cię wołam puste i ogrody", drukowaliśmy w „Dzbanku Malin". Dużo z tych robót zostało, a dużo też poginęło w różnych czasach.

Ponieważ nabrałem tego złego przyzwyczajenia, że najłatwiej pisałem dyktując, wolała Maryla nieraz rzucić własną robotę, a siadała do maszyny i kazała sobie dyktować, pisząc cierpliwie całemi godzinami. Umiała zresztą każdej chwili wrócić do wykończania swoich rzeczy. Wiedziała i czytała mnóstwo, zwłaszcza o wczorajszej epoce, pamięć miała niezwykłą, i nieraz nawet ojcu mojemu przyniosła jakieś ziarno cenne, jakąś „najświeższą z gazety wiadomość" o Słowackim czy Mickiewiczu. Domy nasze wogóle — „Trzeci Maj" we Lwowie i „Zaświecie" — tak były z sobą zrośnięte, że uważaliśmy się wszyscy niemal za jedną rodzinę, jeszcze od czasów, kiedy lat temu 85 teść Maryli, Ludwik Wolski i mój dziadek Mieczysław, złączeni byli najbliższą przyjaźnią.

Wojna przerwała współpracę w „Lamusie". Przyszły takie czasy, które zmieniły tok myśli i przewróciły nieraz życie do dna. Najgłębsze rzeczy w ludziach wytrwały. Kiedy był czas, że los się przeciwko mnie odwrócił, Maryla była mi niezawodnym przyjacielem. Ja też jej nie zawiodłem.

A potem starałem się na nowo zachęcić ją do pisania, do którego się w świetle ciężkiej, niedającej się wyrazić prawdy, zniechęciła. Wedle mego projektu opracowała cudownie materjały po swej matce i Grottgerze, w „Arthurze i Wandzie“, zaczęła pisać pamiętniki — a czasem upuściła garść rytmów, kiedy jej się na płacz zbierało. Starając się też w rozsypce zebrać jej myśli i utrwalić, wydałem „Dzbanek Malin“. Po jego wyjściu, na Święty Michał, w roku 1929, zaczęła Maryla list do mnie tą krotochwilną inwokacją:

Przyjm wdzięczne rymy moje
W Twą fetę aniołową,
O Ty! Coś jak Schliemann Troję
Odkopał własną teściową!

W ostatnim roku, pozałatwiawszy różne sprawy dla drugich, napisawszy jeszcze kilka anonimowych nekrologów i różnych świadectw o żywotach bliskich i znajomych dla złożenia ich w rękopisach po archiwach rodzinnych, powiedziała, że teraz dopiero zabierze się do mówienia o sobie. Nie zdążyła. A my nie umiemy tak pisać o drugich, jak ona.

Nie byłem przy jej śmierci, przyjechaliśmy do Lwowa zapóźno. Ale zdążyła dodać jeszcze jedno słowo, — do wszystkich, które od niej słyszałem — jeszcze jedno słowo dla mnie, nieme, które mnie wzruszyło do głębi:

Trzeba wiedzieć, że zarówno syn jej w Perepelnikach, jak i my, dwaj zięciowie, ziemianie, borykaliśmy się ciągle z kłopotami finansowemi, że jej własny dom, — który gotowa była każdej chwili córkom oddać, niczego nie chcąc dla siebie prócz kąta, — wymagał tylko wielkich wkładów. Dlatego nieraz, choć miała zaopatrzenie, brakło jej najskromniejszej gotówki, a widząc nasze kłopoty, za nic w niczem nie chciała nam ciężyć. Zadowalała się swemi nad wyraz skromnemi honorarjami autorskiemi, często z nich rezygnując dla sprawy pisma, publikującego jej artykuł.

Otóż wyszła właśnie moja „Harfa Eola“. Tak się cieszyła tą skromną książką, jak żadną swoją własną. Naturalnie miała swój egzemplarz, i gdyby była zażądała, byłbym jej posłał więcej. Wiedziała jednak, że do wydawnictw Biblioteki Medyckiej dokładam. Chciała przecie koniecznie zrobić mi reklamę. I oto znalazłem na stole przy jej łóżku pięknie zapakowany, z księgarni przyniesiony ostatni jej sprawunek: dwa dla kogoś przeznaczone egzemplarze „Harfy“, kupione bez rabatu za jej własne, tak skromne fundusze.

Został w spuściźnie po Maryli Wolskiej jeszcze dobry tom wierszy w rękopisach. Został ponadto rękopis, który będzie kiedyś rewelacyjnem wydawnictwem, zarówno jako metoda pisania wspomnień o dawnych ludziach i czasach, jak i ze względu na tysiące nieznanych szczegółów z życia wybitnych jednostek. Nazywa się to *„Quodlibet“*. Niestety jest tego tylko jeden tom, a byłoby ich conajmniej dwadzieścia, gdyby autorce starczyło było czasu na ich napisanie. Zostały pamiętniki z czasu wojny w formie listów do Seweryny Pawlikowskiej. Trzebaby też zebrać artykuły publicystyczne, pisane pod pseudonimem „Tomasz Raróg“ i pod własnem nazwiskiem autorki. — Wreszcie musimy kiedyś opracować wydanie jej listów. Nikt ich tak dziś już nie pisze i pisać nie potrafi. Z listów Maryli przebija w każdem zdaniu zarówno powaga i zdecydowanie myśli, jak i temperament kipiący najbystrzejszym humorem, zmysłem komizmu wobec siebie i drugich i precyzyjną obserwacją faktów. Równoczesność jednego przy drugiem jest czemś, co pozwala każdemu czytać te listy o sprawach, nieraz czytelnikowi obcych, z zapartym tchem, z pożytkiem i uciechą.

Na tem zamykam te wspomnienia rodzinne o jednym z najlepszych naszych duchów, którego pamięć zarówno dla nas, jej bliskich, jak i dla wszystkich w Polsce powinna żywą pozostać na zawsze.

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

ŻYCIE

DZIECIŃSTWO

Od pewnego czasu Matka wieczorami grywa na fortepianie melodje od dzieciństwa nie słyszane.

Skąd się biorą te płacze? skąd wstaje tęsknota?
— Dzieciństwo się odzywa w tych dźwięków rozpierzchu,
i dzieciństwa pragnienia, dziecinna myśl złota
powstają z zapomnienia popiołów i zmierzchu.

To wszystko było kędyś, gdzieś się ukrywało,
dziś żyć znowu poczyna, służyć sobie każe...
Coś mi oczy zasłania, coś zcicha załkało...
To dawne sny dziecięce, niegdyś żywe twarze.

Och, minęło, minęło wczesne życia rano,
odeszły tajemnice, co się nie wyśniły,
i jeno w głębi serca nanowo powstaną,
ale już bez rumieńca, bez żywota siły.

Smutne jesienne kwiatki, wy ptaki bez śpiewu,
bez nadziei pragnienia, bez blasku zwierciadła.
Wy, widzenia powstałe z dziecinnych lat siewu,
czemuż zgonu waszego myśl ma nie odgadła?

Cichoście snadź odeszły, w jakiś ranek szary,
kiedy mgły się zwieszały ponad ziemią nisko,
wy dzieciństwa mojego sny, bajki i czary,
schylające się niegdyś nad moją kołyską...

1917.

MŁODOŚĆ

O, młodości moja, złota młodości!
Gdzież nadzieja twa i twe tęsknoty?
Gdzie Ci ludzie, co byli tak prości?
Gdzie te burze, strojne w błyski i grzmoty?
O młodości, jakże jesteś daleka!
Jakże inne wszystko, co mię otacza!
Jakże smętny dzień, co za dniem wdal ucieka,
Mimochodem potrącając tułacza.
Czarów moce zwiędłe i pobladłe,
Obłocone kwiatów płatki, tęcze,
Groby, kędyś w głębie ziemi zapadłe,
Nad któremi osamiały dziś klęczę!..
O, młodości, o dni zdrowia i siły!
O, nadziei przewspaniałej zwaliska!..
Światy, światy, co z przed oczu się skryły,
Które kamień grobowcowy przyciska...
Nad grobami dziś stoję — i jasno
Widzę światów poniszczonych ogromy —
A tam w zorzach zachodu, co gasną,
Sen młodości odchodzi znikomy...
1919.

WIEK MĘSKI

Szeroko otworzone oczy
na fałsz, na grzech, na ból, na jad,
patrzą, jak się w bezmiary toczy
ten oszalały żądzą świat,
I widzą oczy me rozwarte,
jak, zacierając świeży ślad,
gdzie legły w prochu fałsze martwe,
zwycięsko kroczy Boży Ład.

STANISŁAW CYWIŃSKI

NA WIDOWNI

W Wielkim Tygodniu — Żywe Średniowiecze — Odrodzenie życia religijnego — Próby zniesienia autonomji uniwersyteckiej — Daremne rachuby.

ŚWIĘTEM przezwyciężenia tego, co przemija, jest wiosenny dzień Zmartwychwstania, świętem nie kończącej się nigdy młodości tego, co nieśmiertelne.

Na kilka dni przerywa się zwyczajny, ustalony bieg życia, „normalnych" zajęć i „normalnych" rozrywek, życia zapatrzonego w cele doraźne, roztrzęsionego, a jak ruch kołowy na jezdni wielkomiejskiej regulowanego tylko chwilami — autorytetem stojącego na skrzyżowaniu przecznic policjanta. Nawet ludzie najmniej dbali o zachowanie tradycji, przygotowują na te dni coś choć potrosze przypominającego „święcone", nawet ludzie przez okrągły rok nie zachodzący do kościoła, w popołudnie wielkopiątkowe wybierają się, starym obyczajem, „na groby"... Dudnią szyny pod kołami tramwajów, huczą autobusy, przekrzykują skutecznie hałas uliczny głośniki radjowe; ogromne szyldy błyszczące, ogłoszenia wielkich firm handlowych usiłują zwabić kupujących „najnowocześniejszemi" pomysłami reklamy. Ale na placach przed kościołami, jak pobożni kramarze średniowieczni, po dawnemu znajdują tysiącznych nabywców przekupnie, którzy w Niedzielę Kwietną stoją, sprzedając poświęcane palmy z baziek wierzbowych i uwite z cierniowych gałązek korony.

Średniowiecze, w tem, co stanowiło trwały, najgłębszy fundament jego struktury, owo średniowiecze katolickie mocniej i pewniej okazuje się zakorzenione w człowieku współczesnym, niżby się to, na podstawie powierzchownych spostrzeżeń, mogło napozór wydawać. Czyż ci Polacy XX stulecia, owe rzesze modlących się, przepełniające nawy kościelne w dni Wielkiego Tygodnia, nie są, w rzeczywistości, ożywieni tem samem zupełnie uczuciem i tą samą wiarą niezgasłą, która przed lat zgórą pół tysiącem, w wieku XIV, wybuchnęła z duszy polskiej potężnym hymnem:

„Nas dla wstał z martwych Syn Boży
Wierzyż w to człowiecze zbożny
Iż przez trud
Bóg swój lud
Odjął djablej stróżej".

Czyż nie to samo wzruszenie wdzięczności, które dziś każe tłumom padać na kolana przed owiniętym fjoletową zasłoną Krucyfiksem, podyktowało wówczas, w tamtych latach odległych, rzewne słowa pieśni:

„Ciebie dla człowiecze
Dał Bóg przekłuć sobie
Ręce, nodze obie
Kry święta szła z Boga
Na zbawienie tobie".

Wiele mówi się w ostatnich latach o wielkich wynalazkach, ułatwiających komunikację, a tem samem mających doprowadzić i do zbliżenia duchowego pomiędzy ludźmi, zamieszkującymi najodleglejsze nawet punkty kuli ziemskiej. Ale czemże jest takie zewnętrzne czysto, techniczne „zbliżenie" w przestrzeni, wobec poczucia jedności duchowej w czasie, jakie wytwarza świadomość uczestniczenia w trwającej poprzez stulecia cywilizacji narodowej? Wszak dzisiejsza Polska, katolicka, korząca się w swoich świątyniach przed figurą ułożonego w grobie Zbawiciela, to jest ta sama Polska, co przed wiekami posyłała Henryka sandomierskiego na walkę o Święty Grób pośród zastępu krzyżowców, ta sama Polska Jacków Odrowążów i Kadłubków, za chrześcijaństwo ginących rycerzy lignickich i pieśni „Bogurodzica"...

Prawda Wiary nie zmienia się, nie przemija, jest wieczyście żywa, nieśmiertelna. Czasem, w pewnych okresach historycznych, soki żywotne krążą, zdawałoby się, wolniej nieco, bardziej ukryte, jakby pod wyschniętą korą drzew w miesiącach zimowych. Ale zawsze wraca znów ta sama wiosna, równie niezwyciężona, równie świeża. Może nawet dostrzec da się pierwsze jej zapowiedzi? Oto „Kurjer Warszawski" (31. III.) zamieszcza w „Kronice akademickiej" następującą notatkę informacyjną:

„Z inicjatywy komitetu młodzieży przy duszpasterstwie akademickiem odbyły się w roku bieżącym, zorganizowane przez organizację akademicką „Katolicka Młodzież Narodowa" i Stow. charytatywne „Pomoc bliźniemu", rekolekcje akademickie... które prowadził od 4 — 8 marca b. r. dla akademiczek ks. dr. Jan Trzepałko, a w dniach od 11—15 b. m. ks. rektor Szwejnic... Rekolekcje zagromadziły tak tłumnie młodzież akademicką, że wynikła potrzeba powtórnej serji rekolekcyj ogólnoakademickich.. Ogółem te trzy serje rekolekcyj akademickich zgromadziły w kościele akademickim św. Anny, nienotowaną dotychczas ilości młodzieży akademickiej: pierwsze około 500 osób, drugie 4.500 osób i trzecie przeszło 2000; jak obliczają, w czasie tych rekolekcyj przystąpiło do Komunji św. w kościele akad. św. Anny przeszło 7 i pół tysiąca młodzieży akademickiej".

*

Obok innych bezcennych skarbów pozostawiły nam Wieki Średnie instytucję autonomji wyższych uczelni. Organizując uniwersytety, Kościół średniowieczny, jeżeli pragnął uczynić z nauki *ancillam theologiae*, to w każdym razie potrafił ustrzec ją przed niebezpieczeństwem oddania w służbę doraźnym interesom jednostek i grup, chwilowo dzierżących w ręku swojem władzę w Państwie. Ale zasada swobód uniwersyteckich, nie budząca wątpliwości za czasów Włodkowica i Długosza, dziś, w epoce Michałowiczów i Szymańskich na niemałe wystawiona została niebezpieczeństwa. Wpływowy, a dobrze poinformowany dziennik, syjonistyczny „Nasz Przegląd", zwalcza ją otwarcie i bez ogródek, pisząc:

„Jeżeli autonomiczność studentów ma polegać na tem, aby zagarnąć dla kliki subsydja państwowe i społeczne, aby bić słabszych kolegów, aby wyrzucać z auli studentów żydów, posyłając ich na cmentarz po trupy, aby urządzać burdy podczas niepożądanych dla reakcji przedstawień w kinach, etc., to komu zależy na takiej autonomji, na takiej nietykalności i eksterytorjalności?"

Nad urzeczywistnieniem tego programu zastanawiał się już podobno poufny zjazd „profesorów, stojących na platformie współpracy z rządem Józefa Piłsudskiego", co zaniepokoiło nawet kilka dzienników „sanacyjnych". W wyniku narad uchwalono na tym zjeździe rezolucję, poruszającą sprawę zmiany przepisów o szkołach akademickich, zaś p. rektor Michałowicz zapowiedział w wywiadzie prasowym energiczniejsze przystąpienie „do pracy nad wychowaniem młodego pokolenia w duchu wzmocnienia w niem poczucia państwowości".

Jakże śmieszne, beznadziejne są te pomysły opanowania życia duchowego młodego pokolenia przez zastosowanie „środków administracyjnych"! Przy pomocy zabiegów mechanicznych nie udało się nawet udaremnić zebrania Bratniej Pomocy studen-

tów uniwersytetu warszawskiego, nie udało się przeszkodzić wyborowi kandydatów młodzieży narodowej do władz stowarzyszenia. Skądże weźmie się tak magiczna siła „przepisów“, aby zdołały one przekształcić oblicze psychiczne młodzieży, zmienić jej przekonania, ideały, dążenia?

Oto jedna z obserwacyj z dni ostatnich, szczegół drobny, ale jakże znamienny. W którejś z antykwarni warszawskich, na ulicy Ś-to Krzyskiej, wystawiono w oknie „Pisma polityczne“ Jana Ludwika Popławskiego. Cena 20 złotych.

— Czemuż tak drogo? — pytam właściciela — Przecież te dwa tomy, gdy były nowe, nie kosztowały ani nawet połowy tej ceny, a tu w dodatku egzemplarz bez oprawy, w kilku miejscach porozdzierany, zniszczony?

Starozakonny właściciel antykwarni, w czapeczce i długim chałacie, uśmiecha się z miną człowieka, rozumiejącego się na interesie:

— Napewno dostanę tę cenę. Ta książka teraz ogromnie idzie. Panowie studenci bardzo to teraz kupują...

I na cóż zdadzą się jakiekolwiek represje, kombinacje, narady zakonspirowanych konwentyklów? Idzie wiosna. Skądkolwiek chwilowo jeszcze dmie przykry wicher, wiosna przybliża się niezawodnie. Czyż odwróci się ją albo zatrzyma, choćby wydano najsurowsze przepisy policyjne, zakazujące otwierania okien w domach, ażeby nie wpuścić do ich wnętrz czystego, rzeświącego powietrza?

JAN REMBIELIŃSKI

ZE ŚWIATA

„NIEMCY BUDZĄ SIĘ“

NADZWYCZAJ ciekawa książka zjawiła się w tych czasach na półkach księgarskich we Włoszech, książka pisana, jeśli się tak wyrazić można, etapami, która jednak ostateczny swój układ otrzymała obecnie. Nosi ona tytuł; „Niemcy budzą się“ (*„La Germania si sveglia“*) (1) Autorem jej jest jeden z najświetniejszych publicystów włoskich, zbliżony do nacjonalistów, senator Vincenzo Morello, ukrywający się pod pseudonymem: Rastignac.

Książka ta jest właściwie czwartym z rzędu tomem „Komentarzy do Wojny Światowej“. Zasadniczą myślą obecnego tomu jest, że państwa aljanckie, rywalizując pomiędzy sobą, zwróciły się z propozycjami sojuszu do Niemiec, a zatem z jednej strony podały w wątpliwość własne uprzednie twierdzenie o nieodzownej konieczności zwycięženia i zgniecenia Niemiec, a z drugiej upokorzonemu dawnemu przeciwnikowi dopomogały do powstania i przygotowania się obecnie do zemsty i odwetu.

Morello twierdzi, że zwycięstwo Włoch, postawiwszy to państwo odrazu w rzędzie wielkich mocarstw, wzbudziło obawy i zawiść, które kiełkując doprowadziły do Locarno, gdzie wszystkie państwa, biorące udział w obradach, deliberowały o pokoju, ale nosiły się z zatajonym zamiarem stworzenia dla siebie najpomyślniejszych warunków do podjęcia nowej wojny. Traktat wersalski był ze strony Francji i Anglii — jak twierdzi Morello — wymierzony przeciw Niemcom i ich aljentom, ale był też wymierzony podstępnie i przeciw Włochom. Polityka zaś Locarna skierowana była, ze strony głównie Francji, do pozyskania Niemiec w celu zabezpieczenia się od Włoch.

Morello potępia niewłaściwość tak łatwego przerzucania się państw od przyjaciół do przeciwników, potępia nietylko z punktu widzenia moralnego, ale i realnych korzyści. Ma się rozumieć, że Niemcy widząc, co się dzieje, zaczęły grać na namiętnościach byłych aljantów i rozdmuchiwać iskry żalów, pretensyj, uraz i apetytów. Nawet gdyby to nie doprowadziło do wojny pomiędzy dawnymi aljantami, to i wtedy jeszcze „gdzie się dwóch kłóci, zyska trzeci“. Niemcy odniosłyby z niezgody wielkie dla siebie korzyści. Już sam fakt, że w Locarno po raz pierwszy za zgodą ex-aljantów został wysunięty problemat rewizji Traktatu Wersalskiego, stał się atutem dla Niemiec.

Ex-aljanci natomiast nic z takiej polityki nie zyskali. Każdy z nich złożył w ofierze na ołtarzu „Stresemann-Briand“ jakieś wyrzeczenie się, jakiś kompromis bez żadnej za to kompensaty. Dzięki Locarno dziś taka np. Francja ma wymierzone ku sobie brzemienne groźbą, choć pokrywane przymilającym się uśmiechem, spojrzenie Niemiec.

Niemcy cichaczem nie ustają w pracy nad zburzeniem Traktatu Wersalskiego. To też Europa wraca, z tego powodu, do sytuacji przedwojennej, w której zarysowuje się coraz jaśniej nowy przyszły konflikt francusko-niemiecki, a, nie daj Boże, może i franko-niemiecko-włoski.

Morello twierdzi, że złu mógłby zapobiec sojusz Francji z Włochami, ale nie zdaje sobie zbyt jasno sprawy z tego, co miałyby przedsięwziąść Włochy, gdyby taki sojusz nie okazał się możliwy... W ostatnich dniach sytuacja pod tym względem wygląda jaśniej, wobec umowy morskiej, zawartej w Rzymie.

Z książki senatora Morello bije w oczy fakt, że na proscenjum wielkiej polityki europejskiej wysunęło się na pierwszy plan, obok Francji i Anglja, państwo włoskie, z czem Berlin nie może się nie liczyć.

EMIL WIT.

(1) — Vincenzo Morello (Rastignac): *„La Germania si sveglia“* Dottor Paolo Cremonese, Editore, Roma (L. 12).

NAUKA I LITERATURA

PARĘ REFLEKSYJ PO PRZECZYTANIU „LENINA“

NAKŁADEM Wydawnictwa Polskiego w Poznaniu wyszedł (1930 r.) nowy utwór literacki, bardzo pracowitego i płodnego autora. F. A. Ossendowskiego pod tytułem: „Lenin“.

Twórczość młodego autora, oryginalna w pomysłach, doczekać się musi w niedalekiej przyszłości oceny fachowej, gdyż różni się ona i pogłębieniem tematu obranego od innych autorów czasów powojennych, jest ujęta w ramki dużej konsekwencji psychoanalitycznej, przez co czyta się każdy utwór A. Ossendowskiego ze znacznem zainteresowaniem i niesłabnącą uwagą.

Obranie tematu z dziedziny życia sąsiadów naszych ze wschodu, z ostatnich lat, gdy te przeżycia są jeszcze w pełni rozwoju i niewiadomo, jak i kiedy się skończą, dowodzi, że autor czuje się na siłach i posiada duży zasób odwagi, skoro sięga wgłąb skomplikowanych zjawisk, które spowodowały wybuch przewrotu bolszewickiego w Rosji.

Rewolucja rosyjska, jak nawet mniej znaczący przewrót w życiu każdej społeczności, jest wyrazem tych prądów myślowych, które nurtują w umysłowości danego narodu. Prądy te, mające wyraźniejszy lub więcej zamaskowany związek z dwoma głównemi prądami, które nurtują we wszechbycie, stanowią o przejawach czasów rewolucyjnych, uprawniających do pew-

nych wniosków, wyprowadzanych na przyszłość, świadczą o zasobach kulturalnych i moralnych narodu, który znajduje się w stanie wrzenia rewolucyjnego a nawet chwilowego przewrotu.

Naród polski przez to, że w dużym swym odłamie związany był i jęczał w niewoli carskiej Rosji przez długie lata, z jednej strony musiał zapoznać się bliżej z prądami, nurtującemi w społeczeństwie rosyjskiem, z drugiej zaś ze względu na sąsiedztwo i zrozumiałe oddziaływanie sąsiada na odnawiającą się Ojczyznę, musi bacznie śledzić bieg spraw fermentu rosyjskiego.

Hasła bolszewizmu — rozszerzyć rewolucję komunistyczną na świat cały, a więc przez wrota polskie na zachód a przez Kaukaz i Syberję na Azję i Afrykę, zmuszają umysł polski do czujności wytężonej i nadają bardzo poważne znaczenie utworowi F. A. Ossendowskiego, któremu społeczeństwo polskie, powiedzmy otwarcie, wdzięczne być winno za podjęcie tak aktualnego tematu.

Młody Uljanow (Lenin), w ujęciu autora, świetny typ ustroju psychopatycznego, w środowisku rosyjskiem musiał, jak gąbka wodę, wchłaniać te prądy myślowe, które panowały wśród inteligentniejszej warstwy społeczeństwa rosyjskiego. Hasła kierunku socjalistycznego, powstające wśród uczonych świata zachodniego, znajdowały zawsze wśród młodzieży rosyjskiej gorliwych, powiedzmy odrazu, namiętnych, a więc nie dopuszczających oceny krytycznej, zwolenników. Jak sięgnę pamięcią, z nad mroźnej Newy i z murów Moskwy wiał na świat uniwersytetu warszawskiego wiatr, niosący propagandę haseł socjalistycznych. Młodzież polska była zawsze pod oddziaływaniem wytężonej pracy rosyjskich kół mieńszewickich, bolszewickich i t. p. organizacyj rewolucyjnych, którym się zdawało, że w środowisku konspirującego życia polskiego łatwo zdobędą posłuch dla głoszonych haseł. W ujęciu zwyrodniałego bolszewika —Polaka, Dzierżyńskiego, prawej ręki Lenina, przedstawił trafnie Ossendowski różnicę, zachodzącą w duszy polskiej i rosyjskiej i tłumaczył kołom bolszewickim Moskwy, że targnięcie się na odrodzoną Polskę nie jest tak prostem i łatwem zadaniem, jak się wydawało różnym Apfelbaumom, Bronsztejnom (Trockij) i t. p. działaczom rewolucji komunistycznej. Sam autor utworu przypisuje, przez wykrzywione usta okrutnika Dzierżyńskiego, odporność duszy polskiej na propagandę zbolszewiczałej Rosji patrjotyzmowi, tkwiącemu na dnie duszy każdego Polaka, i nie wie czy wiedzieć nie chce, że obok niego istnieje w umysłowości polskiej krytycyzm na wszechwładność prawa determinizmu myślowego, który był u podstawy teorji rzekomo postępowej, bo u podstawy samego marksizmu. Człowiek myśli, a więc i czuje, jak musi, a nie jak chce, głosi prąd filozofji deterministycznej, którą się posiłkują prawie całkowicie twórcy owych teoryj socjologicznych, jak Marx, Lassalle, i inni. Otóż mogę z całą pewnością powiedzieć, że przed pół wiekiem, gdy brałem czynny udział w dyskusjach i sporach studenckich zebrań w Warszawie, na których ujawniało się przesączanie owych prądów filozoficznych a wśród nich i prawa determinizmu myślowego, odzywały się głosy powątpiewania — azali determinizm zyska potwierdzenie w ściśle naukowej ocenie. Obecnie koła myślące Europy już nie wątpią, że można mówić zaledwie o „indeterminizmie" w determinizmie i że prawo determinizmu myślowego musi uledz modyfikacji, nim zyska prawa pewnika naukowego, na którym wolno będzie budować doktryny niezłomne. Na dnie duszy Polaka rzeczywiście tkwi wielkie przywiązanie do ziemi Ojców, jest pewna świadomość tego posłannictwa ogólno-ludzkiego, które ma spełnić naród nasz i dlatego w masowem życiu narodu naszego trudniej jest utrwalić bezkrytyczny pęd poddania się nawet najułudniejszym doktrynom. Tę właściwość ustroju duchowego narodu polskiego musi brać pod uwagę kulturalna Europa, musi uznać moc naszego ducha i ma prawo liczyć na naszą odporność na wywrotowe zakusy wojującego bolszewizmu.

Utwór Ossendowskiego, z tego punktu widzenia brany ma niewątpliwe duże zasługi w oczach naszych i jeżeli będzie sprawiedliwie oceniony przez światłą opinję narodów kulturalnych, utrwali w umysłach ich przekonanie o znaczeniu Polski odrodzonej i rozwieje legendę o niechęci Polaków do przyjmowania i wprowadzania u siebie reform rzeczywiście pożytecznych.

Jako artysta, autor w „Leninie" wykazuje duże zalety. Opis sceny bredzącego alkoholika jest ujęty po mistrzowsku, świadczy o wielkiej spostrzegawczości autora, świadczy, że umie się wczuć w istotę procesu chorobowego.

Posłuchanie, jakiego udziela Lenin rabinom i cadykom, proszących psychopatycznego dyktatora o usunięcie od boku swego pomocników-żydów, jest kapitalnie, lecz z pewnem niedomówieniem przedstawione. Przedstawicielom żydowstwa idzie o odwrócenie nienawiści od plemienia, które dało okrutnikowi bestjalskich wykonawców. Lenin wiedział, że lepszych wykonawców, którzy ze spokojnem sumieniem krew przelewać są zdolni, jak Nachamkesy, Apfelbaumy i t. p. ludzie nie znajdzie. Obraz posłuchania rzeczonego posiada pewne braki w kolorycie. Autor „Lenina" wie, że zasadniczo walczą we wszechbycie dwa prądy filozoficzne: jeden głosi, że przyjdzie jeszcze genjusz, który narzuci nowy ustrój współżycia, zabezpieczający powszechną szczęśliwość i drugi, który zatrzymał się na etyce chrześcijańskiej i głosi, że ustrój obecny wypada stopniowo ulepszać i w ten sposób zabezpieczyć spokój i równowagę ustrojów ludzkiego współżycia. Talmudystyczni przedstawiciele pierwszego kierunku prosili krwawego Lenina nie o uzgodnienie rozbieżności między zasadniczemi kierunkami, lecz zabiegali o taki stan rzeczy, by narodowi wybranemu nie był zadany cios odruchowo, by naród ten mógł dłużej zbierać plony, a więc zbogacać się w celu opanowania świata, do czego dążą i w co wierzą wyznawcy talmudu.

Twórca strasznego w swych przejawach przewrotu rosyjskiego, Lenin, w ujęciu Ossendowskiego przedstawiony jest dosyć dobrze. Wszystkie rysy jego ustroju psychicznego posiadają wyraźne kontury psychopatji i z tego punktu widzenia najnowszy utwór zasługiwać będzie na ocenę psychoanalityka.

Różne są stopnie i postacie ustrojów psychopatycznych: większość tych niezrównażonych ludzi wywołać może tylko udrękę życia codziennego, mała ich garstka jest w stanie wpływać na kształtowanie się form współżycia, a tylko jednostki z pośród nich mogą grupować koło siebie prozelitów i wywierać nacisk na losy narodów. Mogą wywierać wpływ, jeżeli poziom moralny środowiska, w którem żyją i działają, nie jest ustalony, ulega falowaniu w granicach wyraźnej nierównowagi.

Psychopatyczny Lenin, w przedstawieniu Ossendowskiego, zachwiał ustrojem olbrzymiego państwa, rozbujać mógł groźne fale pożądliwości mas, gdyż te masy ludowe nie miały utrwalonego poziomu moralnego, nie przyświecała im gwiazda ideału czy to religijnego czy patrjotycznego.

Ze stronic najnowszego utworu Ossendowskiego widać, że tworzył postać Lenina i pisał swe dzieło na mocy nie osobistych przeżyć i obserwacyj, a więcej w jego twórczym umyśle układały się obrazy i sytuacje, zaczerpnięte ze źródeł literackich i dziennikarskich. Ta okoliczność, prawdopodobnie, miała wpływ na pewne, małe zresztą, usterki w kolorycie, świadczy jednak z drugiej strony, że literatura nasza w osobie p. Ossendowskiego zdobywa autora o wielkich zdolnościach, który przez swój objektywizm i realizm w obrazowaniu może jej dać dzieła o poważnej wartości.

KAROL RYCHLIŃSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wśród bieżących wydawnictw literatury pięknej nowa książka Józefa Relidzyńskiego, zbiór kilku opowieści p. t „Maska z pałacu królewskiego“, wydana nakładem Bibljoteki Narodowej w Warszawie, oryginalna i ciekawa, wyróżnia się przedewszystkiem swym poetyckiem, szlachetnem tonem. Ton to o wysokiej skali, jakim przemawiał romantyzm, płomienny i wzniosły. Na szerokiem historycznem tle minionych epok Italji i Hiszpanji ukazuje przemyślane po malarsku obrazy, nasycone mocnemi barwami. Osnowy opowieści, zawartych w książce „Maska z pałacu królewskiego“, rozgrywają się wśród gwaru bitew i feudalnej atmosfery pałaców i ogrodów królewskich i książęcych. Autor rozporządza bogactwem barw. Z dużą kulturą uczuciową, temperamentem artystycznym i erudycją anegdotyczną, nadaje akcji żywy i głęboki nurt dramatyczny. Treść opowieści, miłosne przygody rycerzy, intrygi klik dworskich, pojedynki, uczty i zabawy, pociąga wyobraźnię swą wizyjnością. Tak jak w poprzedniej książce „Powrót z tamtego świata“, która doczekała się drugiego wydania, styl Relidzyńskiego jest w nowym jego utworze nie zachwaszczony gwarą, czysty, potoczysty i dźwięczny. (A. W.)

*

Powieść Tomasza Manna, laureata nagroty Nobla, „Buddenbrookowie“, w przekładzie pani Ewy Librowiczowej jest cennym nabytkiem beletrystyki. Przedstawia historję wzniesienia się i upadku kilku pokoleń mieszczańskiej, patryjuszowskiej rodziny kupieckiej w większem niemieckim mieście portowem. Jednak nie temat tej powieści obyczajowej stanowi o jej wysokiej wartości, ale nieporównana w swej doskonałości metoda pisarska Manna. Harmonja kompozycji tak w jej rozwoju, jak i w poszczególnych zdarzeniach, idzie w parze ze ścisłem, niemal geometrycznem, rozplanowaniem barw i cieni przedstawionych postaci. Każda z tych postaci kupców, członków ich rodzin, jak i licznej galerji figur epizodycznych, to wystudjowany do głębi portret psychologiczny, zawsze w pełni czucia i ruchu, w drobiazgach codziennego życia i ogólnym duchowem profilu. Atmosfera dnia, domu i miasta, kreślona mistrzowskiem piórem, pociąga za sobą myśl czytelnika i narzuca się wyobraźni suggestywną mocą żywotności. Bytowanie rodziny Buddenbrooków przedstawione jest realistycznie, z akcentem ironji, nie rzadko groteski, ale zawsze pod czujnem okiem autora, bez dygresyj lub przesady. Powieść, w dwóch dużych tomach, rozgrywa się w latach, mniej więcej, 1840 — 1875, w czasie rewolucyj i wojen, wstrząsających wtedy duszą narodów i państwowemi organizmami Europy. Rzecz charakterystyczna, że mimo wyraźnego wymienienia tych dat w dziele, zostały w niem przemilczane echa romantyzmu i ówczesnych epokowych przeobrażeń, drobne, a zlikwidowane przez policję w ciągu kilku godzin zaburzenia w mieście, jako przejaw „gniewu ludu“ potraktował autor humorystycznie, poza obrębem niemieckiej mieszczańskiej społeczności.

Powieści Tomasza Manna mają wyjątkowe szczęście do tłumaczów na język polski. „Bunddenbrookowie“, tak jak i słynna „Czarodziejska góra“ przełożone zostały wiernie i pięknie. (A. W.)

*

W ostatnim zeszycie (78) miesięcznika „Muzyka“ ceniony skrzypek prof. Robert Perutz, mieszkający teraz stale w Ameryce, zamieścił bardzo interesujący artykuł, w którym opisuje szczegółowo i plastycznie jeden z koncertów amerykańskich Paderewskiego. W tymże zeszycie znajdujemy niespodzianie artykuł znakomitego skrzypka Bron. Hubermana. Prócz tego wiele innych artykułów w tym zeszycie świadczy o ruchliwości pisma.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W wydawnictwie *„A la Cité des Livres“* ukazała się rzecz Karola Maurrasa p. t. *„Principes“*. Zawiera cztery rozprawy *(L'Homme, Civilisation, L'Industrie, La Querelle des Humanités)*, w których jeden z najświetniejszych myślicieli i pisarzy francuskich wypowiada swe poglądy na człowieka, na społeczeństwo, cywilizację, pracę ludzką, wreszcie znaczenie znajomości języków starożytnych i cywilizacji grecko-rzymskiej dla kultury współczesnej. (K.)

*

Nowa książka Leona Daudeta: *„La femme et l'amour“* (Flammarion 1930) sprawi zwolennikom tego ciekawego i pełnego temperamentu pisarza zawód. Przedewszystkiem niema w niej nic nowego ani oryginalnego, są to bowiem, jak prawie wszystkie ostatnie książki Daudeta, wspomnienia związane z „kobietą i miłością“. Uwagi na ten temat, ujęte w 16 rozdziałów, zaprawione, jak zwykle, to subtelną ironją, to ciętym dowcipem, nie wnoszą nic nowego do tego już tak często i rozmaicie opracowanego tematu. Cały Daudet przejawia się w rozdziale *„La souveraine“*, ciekawe refleksje znajdujemy w rozdziałach: „Gdy mężczyzna się zniża — kobieta się wznosi“ i w zakończeniu. Myślą przewodnią tej książki są niektóre artykuły (213, 214, 215, 217, 391) kodeksu napoleońskiego, uzależniające kobiety prawnie i moralnie od mężczyzny, wbrew jak twierdzi nakazom sprawiedliwości. Naogół poszczególne rozdziały ujęte są bardzo pobieżnie i ograniczają się do osobistych wspomnień Daudeta na dany temat. Książka *„La femme et l'amour“* jest przedewszystkiem ciekawym przyczynkiem do charakterystyki Leona Daudet'a. (A. J.)

*

Socjalizm narodowy Hitlera zasługuje na uwagę i nietylko dlatego, że stanowi znaczną siłę we współczesnem życiu politycznem Niemiec, lecz dlatego także, iż jest interesującym i trwałym przejawem duszy niemieckiej, a przez nią prądów przebiegających wszystkie narody kultury zachodniej. Posiada on też, oprócz prasy codziennej i wydawnictw broszurowych, agitacyjnych, literaturę książkową. Do niej należy rzecz hr. E. Reventlowa, omawiająca zasady, na których się opiera socjalizm narodowy i nosząca tytuł *„Deutscher Sozialismus“* (Alexander Duncker Verlag. Weimar). Czytelnik dowiaduje się z tej książki, czem jest socjalizm narodowy, dlaczego taką właśnie nosi nazwę i jakie są jego zasady i cele. (K.)

*

Autor najlepszej, zdaniem Niemców, książki niemieckiej o wojnie Ludwig Renn, wydał nie tak dawno temu nową książkę p. t. *„Nachkrieg“*. Jest to obraz Niemiec w pierwszych miesiącach zawieszenia broni. O stronie literacko-beletrystycznej tej książki nie wiele się da powiedzieć, ma ona raczej wartość dokumentu. Autor opisuje przedewszystkiem nastroje żołnierzy, wracających z frontu do domu, następnie zaś formowanie się pierwszych oddziałów wojsk rządowych, na podstawie dobrowolnego zaciągnięcia się do wojska. Interesująco przedstawił Renn nastroje rządowych wojsk, antagonizm pomiędzy żołnierzami i szarżami podoficerskiemi a oficerami, dalej krótka ale dosadna charakterystyka niektórych członków rządu, ścieranie się wiernych cesarzowi z republikanami, zamieszki komunistyczne i walka z komunistami. Renn staje na stanowisku pośredniem pomiędzy socjalistami, których niebardzo rozumie (lub wręcz nie rozumie) — a zwolennikami dawnego rządu. Kogo interesuje historja powojennych Niemiec, ich książkę przeczyta z dużą satysfakcją. Zdaje się, że przetłumaczono ją już na język polski. (A. J.)

*

Przyszła wojna niemiecko-polska stanowi przedmiot wielu powieści, które się w ostatnich czasach w Niemczech pojawiły. Na pewną uwagę zasługuje pod tym względem powieść Blesse'go *„Pastenau“*. Porucznik Pastenau, odznaczony podczas wojny orderem *„Pour le Mérite“* przeprowadza z chorążym Ksiboldem, zdolnym absolwentem szkoły kadeckiej, grę wojenną, w której dowódcą wojsk niemieckich jest Pastenau (z Niemcami idzie Rosja, Litwa i Bułgarja) a wojsk polskich (z Czechami, Rumunami, Jugosłowianami) jest Ksibold. Wojna odgrywa się tylko na wschodzie Europy, inne państwa, dzięki taktyce Niemiec, pozostają neutralne. Charakterystyczne jest też, że niema mowy o gazach, jako środku zabójczym, używa go się jedynie dla zasłony. Pierwsze ataki skoncentrowane są na Śląsk i Pomorze, przyczem okrąg przemysłowy ma za wszelką cenę być chroniony przed zniszczeniem. Z początku Polacy odnoszą pierwszorzędne sukcesy — ale Niemcom udaje się zniszczyć armję czeską — poczem ma nastąpić koncentryczny atak Niemiec i Rosji na Polskę. Cała granica polsko-niemiecka ze strony Niemiec jest świetnie ufortyfikonana, i zabezpieczona, dzięki czemu Polacy ponoszą poważne straty. Żałować wypada, że autor gry wojennej nie doprowadził do końca. Daje wprawdzie do zrozumienia, że oczywiście Polska zostaje pobita, poczem według porozumienia z Rosją nastąpi całkowite wysiedlenie ludności polskiej i czeskiej wgłąb Rosji, a „była“ Polska i Czechy zostaną zaludnione wyłącznie Niemcami, co „nareszcie“ da Europie „upragniony, trwały pokój“.

Część beletrystyczna rzuca ciekawe światło na poziom moralny współczesnych Niemiec.

Książkę tą przetłumaczył płynnie, choć nie bez pewnych usterek, dr. Zajączkowski. (A. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W SKROMNYM lokalu Polskiego Tow. Artystycznego pokazano nam niedawno niewielką kolekcję prac Marylskiego. Fakt ten, nie poprzedzany szumną reklamą, uszedł może uwadze niektórych, przez innych został sprowadzony do rzędu zwykłych i częstych zdarzeń w naszem życiu artystycznem, lecz ci, co zwykli oceniać podobne zjawiska, jako cząstkę pewnej całości, wyznaczać im właściwą rangę i miejsce w sztuce współczesnej — zobaczyli może w obrazach Marylskiego niejedno, co kazało im na nie baczniejszą zwrócić uwagę. Marylski wystawił obrazy malowane już po powrocie do kraju z Paryża, gdzie mieszkał i pracował dość długo. Ktoby jednak chciał w jego pracach szukać jakichkolwiek śladów Paryża, dozna zupełnego zawodu. Nie znaczy to wcale, aby Paryż nie przyniósł mu najmniejszej korzyści. Będąc tam, miał oczy i uszy otwarte na wszystko godne zapamiętania. Pogłębił zapewne swą wiedzę fachową, rozszerzył skalę technicznyc możliwości. Lecz wróciwszy, jak sam szczerze wyznaje, za dziwne by uważał malować nasz np. rodzimy krajobraz po „parysku". Jest w tem wyznaniu artysty głęboka i jakże często lekceważona słuszność. Czyż o wszystkiem można w jednaki sposób przemawiać? Technika nie będzie czczą wirtuozerją, gdy dobrana najtrafniej i najwłaściwiej do danego tematu. Pejzaż bliski nam od dzieciństwa, odtwarzany manierą na obcym gruncie artystycznym wyrosłą, nabiera cech dziwnej egzotyczności. Okolice naszej Wólki zmieniają się w „plenery" z południowej Francji. Oto jest geografja sztuki!

Tak tedy do polskiego pejzażu przyszedł Marylski z ambicją odnalezienia właściwego języka. W samym temacie, w obrębie krajobrazu pojawia jeszcze jedno: koń. Koń pogrzebany już w sztuce, skazany na zagładę w życiu praktycznem. Artysta nie traktuje go jako anegdoty (batalistyka), nie przedstawia też zwierzęcia w służbie człowieka. Koń jest tu zagadnieniem wyłącznie malarskiem. Takie jest formalne stanowisko artysty jako malarza. O jego duchowem obliczu mówi sposób podejścia do tematu. Kto zna i lubi konie, zauważył, iż są one zupełnie czemś innem w zaprzęgu, lub pod siodłem, albo na swobodzie. Gdyby można było mówić o duszy końskiej, powiedziałbym: są to całkiem odrębne duchowo istoty. Takiego właśnie konia, „swego" konia, wolne zwierzę, pełne szlachetnej *grandezzy* daje nam w swych obrazach Marylski. I w rzeźkości i pędzie zwierzęcia, w szerokim oddechu krajobrazu, w zwale chmur, skłębionych na niebie (które artysta studjuje z taką pasją), jest tęgi powiew romantyzmu. Jego wyrazem staje się również i technika Marylskiego, odziedziczona po Krzyżanowskim (M. należał do najzdolniejszych uczniów mistrza).

Kilka prac, które M. nazwał kompozycjami, ma za temat, poza podporządkowanym mu terenem, prawie wyłącznie niebo. Niema w niem lirycznego spokoju, zawsze tam się coś dzieje, pełno chmur, ich gmatwanina kryje w sobie pewną dramatyczność.

Pozatem Marylski wystawił kilka wyrazistych portretów, których technika najbardziej przypomina nam Krzyżanowskiego, oraz studja kwiatów.

Kończąc mą drobną i skromną notatkę, zaznaczam, iż nie miałem zamiaru i nie mogłem zawrzeć w niej dokładnej charakterystyki artysty. Zrobię to przy sposobności, po szczegółowem zapoznaniu się z jego twórczością. Tymczasem stwierdzam z radością: Marylski, jak i np. taki Rafał Malczewski (jeżeli chodzi o młodsze pokolenie) dobrze się zasłużą naszej sztuce i po latach, mówiąc o nich — artysta, niesposób będzie nie dodać słowa: polski. (W. P.)

*

Stanisław Grabowski wystawił jednocześnie w Zachęcie i u Garlińskiego. Interesujące byłoby stwierdzenie, czy podział prac między dwie instytucje o tak różnorodnym charakterze (i opinji, często powierzchownej, lecz już ustalonej) nastąpił na zasadzie czysto mechanicznej segregacji? Już pierwszy rzut oka na obie wystawy dowodzi, że nie. Artysta nie grupował także obrazów według ich poziomu, ani rodzaju — i tu i tam spotykamy się z tym samym Grabowskim i jednakowo dobrym. Nawiasem mówiąc, zupełnie inaczej postępuje, wystawiający u Garlińskiego razem z Grabowskim, Konstanty Mackiewicz. W Zachęcie stara się być jaknajbardziej „błagonadiożnym", a na Mazowieckiej gorliwie modernizuje. Takie postępowanie nie budzi w nas zaufania do malarza i każe przypuszczać, iż jedna z jego postaw artystycznych jest fałszywa. Powracając do Grabowskiego zauważmy, że u Garlińskiego dzieła artysty zestawione są w taki sposób, aby o linji rozwojowej dawały obraz bardziej konkretny, wszechstronny i zwarty, gdy w Zachęcie mamy do czynienia raczej z jedną z kart historji jego sztuki. Grabowski jest jednostką psychiczną o niesłychanej pobudliwości, stąd przy tak cennem dla artysty uczuleniu, zarazem i nadmierna łatwość ulegania wpływom obcym. „Paryż" z jego obrazów wyziera w sposób aż nadto widoczny. W ojczyźnie kubizmu zaczął początkowo kształtować swe działanie na podstawach niezłomnej dyscypliny kompozycyjnej. Sam kubizm nie wywarł na Gr. większego wpływu, raczej różne koncepcje z kubizmu się wywodzące. Trafiły one na grunt nasiąknięty impresjonizmem. Zmogły i potrafiły zmienić postawę artysty, ale nie zdołały przeinaczyć jego natury. Dziś znowu wrócił Gr. do rzeczy robionych na wyczucie. Postępując tak, jest w zgodzie nietylko z sobą samym ale i ze współczesnością. Chociaż bowiem impresjonizm dawno umarł, wszyscy jeszcze żyją ze spadku po nieboszczyku. Scheda ta została pomnożona spuścizną pocezannowską.

Grabowski długo przebywał w Paryżu. Nie mam bynajmniej zamiaru negować korzyści wyjazdu zagranicę. W pewnym momencie dobrze jest wyjechać, lecz nadchodzi czas, gdy lepiej jest wrócić. Pora, mam wrażenie, nadeszła. W obrazach Gr. możemy odnaleźć Utrilla, Deraina, czasem Matissa i Chagalla. Teraz chcemy w nich widzieć tylko Grabowskiego. Bo jedno jest pewne, Gr. to człowiek z talentem, prawdziwy artysta. A takich nie mamy najmniejszego zamiaru darowywać Francji (W. P.)

*

Równocześnie z Grabowskim wystawił u Garlińskiego Konstanty Mackiewicz. M. operuje konstruktywizmem pocezannowskim. W obrazy wprowadza ład skoordynowanych kształtów. I kolor w malarstwie M. ma swój ciężar, jak u Cezanne'a. Ale jest trochę brudny (W.P.).

ZMARLI

ŚP. KAROL RYCHLIŃSKI

ZMARŁ w Drewnicy pod Warszawą kierownik słynnego zakładu psychjatrycznego, znany lekarz dr. Karol Rychliński. Znakomity psychjatra okazał się dobroczyńcą również jako działach społeczny. Dziełem swojem, jakiem było stworzenie zakładu w Drewnicy, postawił się w pierwszym szeregu zasłużonych i miłowanych przez społeczeństwo lekarzy polskich. Nigdy bodaj lekarze nie spełnili roli tak doniosłej, jak lekarze polscy w XIX w. w charakterze samarytańskim opiekunów społeczeństwa.

Dr. Rychliński, widząc jak bardzo zaniedbany jest kraj pod względem organizacji opieki nad umysłowo chorymi, dał w r. 1900 inicjatywę stworzenia odpowiedniego towarzystwa, któreby tą sprawą zainteresowało ogół. W r. 1903 nastąpiło otwarcie zakładu w Drewnicy. Nie liczono wtedy na skarb, społeczeństwo samo ją stworzyło. W 25 lat potem Drewnica we wzorowo urządzonych gmachach, chroniła 500 chorych, a majątek jej wynosił 2 miljony złotych.

Śp. Rychliński lubił i umiał robić wszystko sam, ale też stargał siły. Nie szczędzono mu w ostatnich latach przykrości. Całe życie wśród chorych, mocując się z nieszczęściem ludzi, wielkim wysiłkiem nerwów wiązał działalność praktyczną, jako lekarz i gospodarz zakładu, z pracą naukową. Prace jego naukowe ukazywały się od r. 1891 w czasopismach lekarskich, przeważnie warszawskich. Bibljografja medyczna wymienia kilkadziesiąt jego prac.

Śp. Rychliński pozostawił po sobie dwu synów, z których jeden odznaczył się talentem na polu twórczości literackiej. Sam wybiegał chętnie poza szranki literatury klinicznej. W „Myśli Narodowej" ostatniemi laty ogłosiliśmy kilka jego artykułów, a w numerze dzisiejszym dajemy skreślone przez uwagi o „Leninie" Ossendowskiego.

Powszechny żal towarzyszył mu do grobu. Żal ten wielu pokoleniom przekaże pamięć człowieka, który kochał ludzi i bardzo się dla nich utrudził. Poezję swego serca i umysłu wypisywał nie na papierze, za co pomniki ludziom bywają stawiane, lecz w pracy bezpośredniej, która stawia rzeczowe pomniki ducha.

Drewnica jest pomnikiem Karola Rychlińskiego.

Z. W.

OFENSYWA

KTO PISZE O GRUNWALDZIE?

REDAKTOR naczelny politycznego dwutygodnika paryskiego *„Revue Parlementaire"* napisał w swojem piśmie bardzo nieparlamentarny i niewersalski artykuł, domagający się zmiany granic Polski i to na Wschodzie i na Zachodzie. Tylko to może zagwarantować niby pokój europejski. Pan de Chambon zarzuca nam wojowniczą zaborczość i przygotowanie militarnej napaści na Prusy Wschodnie.

Bardzo słusznie oburzyła się na to prasa polska, stwierdzając, że o żadnej takiej napaści militarnej żaden z poważnych czynników u nas ostatnio nawet nie pomyślał, ani nie napisał. Sprawa taka może dopiero nabrać „rumieńców aktualności", gdy Niemcy nie pofolgują w tem tempie propagandy odwetowej, gdy agresywność ich ustawicznych na całym froncie podżegań wojennych nie zostanie zlikwidowana i gdy pomysły odszkodowania nas cudzym kosztem, t. j. łotewską Libawą i litewską Kłajpedą, nie zostaną wrzucone do morza. Wtedy wyprowadzeni z równowagi i my będziemy musieli pomyśleć o rozwinięciu globalnej propagandy z takim pomysłem, że dopiero inkorporacja w połowie słowiańskich i Mazurskich Prus Wschodnich ocali pokój europejski.

Natomiast już teraz właśnie w paryskiej *„Revue des Nationalités et des minorités nationales"* wystąpiono z szeroko umotywowanym projektem rozbioru Prus Wschodnich, i to w ten sposób, aby cała południowo-zachodnia część P. W. z ludnością 1.200.000 mieszkańców przypadła Polsce, a północno-wschodnia część (10.000 klm. kw.) i 500.000 mieszkańców przypadła Litwie; Królewiec zaś z okręgiem 2.000 klm. kw. byłby wolnem miastem, *condominum* Polski i Litwy. Niemcy jako rekompensatę otrzymałyby mandat kolonjalny. P. Chambon tedy powinien raczej mieć pretensję do redakcji *„Revue de Nationalités"*.

To tylko godzi się przypomnieć przy okazji, co to w tej sprawie pisała w lipcu zeszłego roku berlińska *„Boersen — Zeitung"*:

„Gdyby Polska nie miała związanych rąk na wschodzie w lipcu w 1920 r. — gdyby Polacy nie byli zmuszeni powstrzymywać naporu czerwonej armji, inaczej wypadłby plebiscyt w Prusach Wschodnich. Prawdopodobnie nie doszłoby nawet i do plebiscytu, gdyż Warmja, Mazury i Powiśle dostałyby się w polskie ręce. Czy w tych warunkach Berlin okazałby jakąkolwiek pomoc Prusom Wschodnim—jest rzeczą wątpliwą".

Jak tedy ten *raid* na Kijów zaszkodził plebiscytowi na G. Śląsku, tak też nie pomógł i na północy. Możeby i nie było straszliwie dziś na cały świat rozdętej propagandy za zwrotem „kurytarza", gdyby plebiscyt na Warmji, Mazurach i Powiślu wypadł inaczej.

Ale właśnie wiedząc o tem, dziwić się trzeba, gdy w książęcym „Dniu Polskim" niejaki p. M. Zaremba, mocarstwowiec widocznie i widocznie namiętny, jak wszystkie Zaremby, chcąc „przeendeczyć endeków" i w kozi róg zapędzić dawne programy, tak szeroko a nieodpowiedzialnie formułuje nasze postulaty:

„Musimy sobie przedewszystkiem zdać sprawę, jak nieprzemyślanem jest twierdzenie, które każe nam poprzestawać na naszym stanie posiadania i kurczowo bronić dzisiejszego *status quo*. Na niemieckie żądania rewizji naszych granic powinniśmy my odpowiedzieć także żądaniem rewizji, ale na naszą korzyść. Powinniśmy przypomnieć Niemcom i Europie to choćby, co niemiecki historyk, prof. Delbrück pisał w 1917 r.: „Germanizm rozszerzył się powoli na wielkie terytorja, które były przedtem polskie. Nietylko Śląsk należał do Polski, ale początkowo biskupstwo Lebus (dziś Fürstenwalde nad Szprewą) było polskie, a polski Kniaź władał w Köpenick (dziś przedmieście Berlina). Także Pomorze, zamieszkałe przez Słowian, było niegdyś pod polskiem panowaniem.."

Dalej domaga się p. Zaremba jeszcze kolonij, potem „stworzenia wielkiego państwa ukraińskiego", „związanego ściśle z Polską", poczem „ścisłego związku małej Litwy z Polską".

„Jeśli Litwa nie zechce (*sic!*) zniknąć z mapy Europy", konkluduje p. Zaremba, to już „czas najwyższy podnieść krzyk o to wszystko.

Otóż ten k r z y k (*sic!*), podnoszony w „Dniu Polskim" ks. Radziwiłła Janusza, t. j. w piśmie, które codzień podkreśla pacyfizm i codzień grzmi na nacjonalizm i nacjonalistów, jest nie na miejscu. Gdzieindziej byłby na miejscu, ale w organie frakcji, zacięcie za ratyfikacją umowy likwidacyjnej i traktatu handlowego polsko-niemieckiego stojącej, jest nie na miejscu. Potem taką gadaninę wyzyskują i przeprmańscy Chamboni i niemieccy nacjonaliści.

Rzecz bardzo charakterystyczna, że taki sam wojowniczy program, parodjujący przez maksymalistyczną egzagerację słuszny program obozu narodowego, w takiem dynamicznem natężeniu proklamował w Polsce tylko jeden człowiek piszący. Swego czasu, już lat temu osiem, Wacław Sieroszewski w „Narodzie" wydał jedno z takich swoich orędzi, gdzie czytało się takie grzmiące wezwania:

„Wszyscy wzdychają do trwałego pokoju. Ale nie będzie wogóle pokoju nietylko w Europie, lecz i na całym świecie, dopóki Niemcy nie zostaną przyswojone cywilizacji. Mniemanie powyższe stało się ogólnikiem powszechnie uznanym, rozumie się za wyjątkiem Niemców. Ci uważają się za zwyciężonych fizycznie ale nie moralnie. I to właśnie jest nieszczęściem Niemców i świata"...

„Aby nie przeszkodziły ostatecznie zmianie stosunków na lepsze, trzeba dawne Niemcy zmiażdżyć, trzeba nowe wychować, oczłowieczyć. Uczynić to może tylko Polska, gdyż Polska jest tą zdobyczą, której spożywaniem Niemcy mają nadzieję się karmić, a dopóki mają tę nadzieję, będą hodowały w dalszym ciągu swoje zęby i swoje pazury, swoje zbójeckie instynkta, wykształcone w ciągu wieków na łupieży słowian, a w pierwszym rzędzie szczepów polskich".

„Do tego Grunwaldu szykujmy się przez reformy społeczne, umacniające nasz organizm gospodarczy, zwiększające naszą pojemność ludnościową tak, jak to czynił w swoim czasie Kazimierz Wielki. Szykujmy się doń jednocześnie militarnie przez szerzenie wiedzy wojskowej, nauki obrony Ojczyzny, przez szanowanie wojska i podnoszecie w nim idealizmu oraz cnót obywatelskich".

Do „Grunwaldu" nowego mamy sie tedy szykować przez „reformy społeczne" (Brześć, Łuck, Toruń, Zalesie), umacniające nasz organizm gospodarczy (ślicznieście przez te pięć lat waszej *„polnische Wirtschaft"* umocnili), przez „szanowanie wojska" (nie sanowanie!) i p o d n o s z e n i e w wojsku i d e a l i z m u i c n ó t o b y w a t e l s k i c h (*sic!*).

Czy wobec tych postulatów p. Sieroszewskiego bylibyśmy obecnie przygotowani do nowego Grunwaldu, to rzecz wątpliwa.

Nadto nie należy zapominać, że do świetnej wiktorji pod Grunwaldem i Tannenbergiem walnie nam pomogli nasi ówcześni przyjaciele i aljanci, t. j. Litwini pod księciem Witołdem i Czesi pod wodzą Żyżki. Obecnie z temi dwoma narodami nie jesteśmy w stosunkach tak przyjaznych, jak za panowania Władysława Jagiełły.

Dziwi więc właśnie takie potrząsanie szablą i to właśnie w grupach tak bardzo pacyfistycznych...

Jeden chce „nowego Grunwaldu", drugi zawędrował z hufami aż pod Berlin. Czy więc wypada, aby zachwalający traktaty likwidacyjne „Dzień Polski", drukował takie bellicyzmy? Czy może imię Janusz, to starorzymskie Janus... „podobny dwugłowemu bogu", jak pisał Mickiewicz.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Prasę sanacyjną zaniepokoił przebieg operacji kartkowej w szkołach. Wszystko byłoby dobrze — pocieszają się — tylko społeczeństwo przeszkadza. Trzeba więc na gwałt zmienić społeczeństwo, przedewszystkiem wziąć się do wychowywania rodziców („Słowo"). Ale to już drobiazg — nieprawda?

*

Pół - pułkownikowski, półsocjalistyczny, półnarodowy, półgłowy „Przełom", przełamany już parę razy w różne strony, wypowiada swój program w formie chętki:

„Chcemy, aby rząd w Polsce coraz więcej przybierał cechy samorządu ludzi wolnych".

„Przełom" może bawi się w puste dla siebie brzmienia słów, wyrwane z metafizyki niemieckiej przedstuletniej; w wyobraźni ludzi współczesnych słowa te budzą obraz Brześcia, gdzie jedni są wolni tylko dlatego, że drudzy są niewolni. Też samorząd.

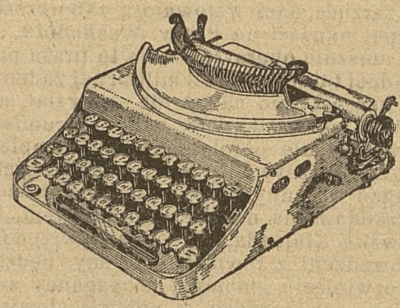
*

Mężowie stanu z „Gazety Polskiej" w stylu red. Miedzińskiego (*postillon d'état*) walą w bęben pustego słowa, jak przed budą jarmarczną. W dziesiątą rocznicę konstytucji marcowej zapowiadają w ten sposób jej reformę:

„Niechże podstawa nowej Konstytucji będzie inna. Niech będzie nią wiara, odwaga i czyn. Wiara w przyszłość narodu, odwaga twórczej myśli i czyn wcielający w życie zamierzenia".

Przyniesione ze wschodu zaufanie do czarodziejskiej magji słów ośmiesza ich coraz bardziej. Ludzie już wiedzą, jaka to „wiara w naród", jak wygląda „twórcza myśl" i jakie to „czyny".

O czynach p. Miedzińskiego „wcielających w życie zamierzenia", świadczy parkan na ul. Królewskiej, grobowiec jego „twórczej myśli". Możeby już dość było tego „bujania"?



TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.